

Andrzej Paczkowski

Jak komuniści zdobyli władzę: Polska 1944–1947. Esej faktograficzny

Od autora

Jest to tekst w oczywisty sposób stroniczy, gdyż skoncentrowany na ukazaniu roli siły (przemocy) w stworzeniu w Polsce po II wojnie światowej nowego systemu państwowego opartego na przymusie, który był dyktaturą ideologiczną. System ten był nie tylko otwarciem antagonistyczny wobec swojej poprzedniczki, II Rzeczypospolitej, ale pozostawał także w niezgodzie z jednym z najtrwalszych – a od końca XVIII w. też najbardziej bolesnych – wątków polskiej tradycji: niepodległości. Zarówno sam system, jak i warunki, w jakich był zapoczątkowany, związane z drastycznym ograniczeniem suwerenności, budziły sprzeciw dużej części społeczeństwa. Stąd znaczenie przemocy i przymusu. Równocześnie stanowienie państwa, które niebawem (od 1952 r.) będzie się nazywało Polska Rzeczpospolita Ludowa (PRL) i przetrwa blisko pół wieku, byłoby niemożliwe bez niezliczonych działań konstruktywnych, na różne sposoby kreatywnych, i bez funkcjonowania przeogromnej sfery codzienności, pozbawionych treści politycznych. Zatem choć w latach 1944–1947 u podłoża przyszłej PRL nie leżał wyłącznie przymus, był on czynnikiem dominującym, prawdziwym signale signum epoki.

Introdukcja

W dziejowym kataklizmie, który w 1939 r. rozpętała III Rzesza, przez blisko dwa lata wspomagana przez Związek Sowiecki, osamotniona Polska najpierw nie była w stanie się obronić, a później samodzielnie wyzwolić. Tragedią były straszliwe straty ludzkie i materialne, a także to, że gdy kataklizm ów zbliżał się do końca, jeden z inicjalnych wrogów (Niemcy) wciąż okupował część Polski, drugi zaś tocząc z nim zwycięskie walki, wkroczył na ziemię Rzeczypospolitej. Dramatyzm tej sytuacji w przejmujący sposób oddaje wiersz *Czerwona zaraza* Józefa Szczepańskiego (1922–1944), poety, podchorążego AK w Batalionie „Parasol”, dwukrotnie odznaczonego Krzyżem Walecznych, a pośmiertnie Orderem Virtuti Militari. W ostatnich dniach sierpnia na konającym już Starym Mieście napisał te wstrząsające słowa:

Czekamy ciebie, czerwona zarazo,
byś wybawiła nas od czarnej śmierci,
byś nam Kraj przedtem rozdarłszy na ćwierci,
była zbawieniem witany z odrazą.

Kresy

Osiem miesięcy przed powstaniem tego wiersza, na początku stycznia 1944 r., Armia Czerwona przekroczyła wschodnią granicę Rzeczypospolitej. Stan rzeczy, który wyobrażano sobie, od kiedy w ciągu 1943 r. Niemcy zaczęli przegrywać kolejne bitwy, stał się faktem, i to w sytuacji, gdy po ujawnieniu sprawców zbrodni katyńskiej Sowiety zerwały stosunki dyplomatyczne z rządem RP. Polacy musieli się określać wobec Armii Czerwonej, ale po mrocznych latach sowieckiej i niemieckiej okupacji większość chciała po prostu żyć i przeżyć, choć wiedzano, kim są Sowietci i czego można się po nich spodziewać. Jednak inna niż wrogie, ale pasywne poglądy „zwykłego” Polaka była reakcja Armii Krajowej.

Pierwszy kontakt z Armią Czerwoną mieli żołnierze AK sformowani pod koniec stycznia w 27 Wołyńską Dywizję (nominalną) Piechoty. Realizowali wytyczne akcji „Burza”, zatwierdzone rozkazem komendanta głównego AK gen. Tadeusza „Bora” Komorowskiego w listopadzie 1943 r. Wychodzono w nich z założenia, że bezczynność AK wobec zbliżającego się frontu byłaby niezgodna z żołnierskim zobowiązaniem wobec ojczyzny, demoralizująca zarówno dla żołnierzy, jak i ludności cywilnej, oraz ułatwiałaby sowiecką propagandę, która posługiwała się kłamliwym sloganem, że AK „stoi z bronią u nogi”. Działania AK miały się rozpocząć nie jednego dnia, ale stopniowo, w miarę wycofywania się wojsk niemieckich. Planowano znacząco wzmocnić liczebność oddziałów partyzanckich, koncentrować je i nadawać im formułę regularnych jednostek WP, podejmować wzmożoną dywersję, a następnie wykorzystując operacyjną przewagę wojsk sowieckich, wkraczać do miast i miasteczek i ujawniać w nich cywilną administrację Polskiego Państwa Podziemnego. Zakładano nie tylko możliwość, ale potrzebę taktycznej współpracy z Sowietami.

Na samym Wołyniu zaplecze AK było jednak słabe. Przed wojną Polacy na tych terenach stanowili mniejszość (około 17 proc.), w latach 1940–1941 tysiące wywieziono w głąb Rosji, a w 1943 r. Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) przeprowadziła antypolską czystkę etniczną, mordując kilkadziesiąt tysięcy osób („rzeź wołyńska”). Nominalna dywizja, której siła była znikoma w obliczu wielomilionowego frontu, przez Armię Czerwoną traktowana była raczej jako nieważny przeciwnik niż przydatny sprzymierzeniec. Wprawdzie doszło do pewnych porozumień i wspólnych działań, lecz jednostka została rozbrojona, część żołnierzy wcielono do armii polskiej gen. Zygmunta Berlinga, część internowano, nielicznym udało się przejść przez linię frontu. Sowietci podobnie zachowywali się wszędzie. Siedmiotysięczne zgrupowanie AK odegrało ważną rolę w zdobyciu Wilna, ale po pierwszych rozmowach zostało potraktowane tak jak ich koledzy na Wołyniu. Taki sam mechanizm zaistniał we Lwowie.

Sowieci po prostu uważali, iż wyzwalają własne terytorium, a nie że wypędzają wspólnego wroga z ziem sojusznika ich anglosaskich sojuszników. Przez ponad rok po przejściu frontu NKWD systematycznie likwidowało na Kresach polskie podziemie i partyzantkę, w procesach skazano kilkanaście tysięcy osób. Tylko małej części żołnierzy udało się z bronią przedostać za linię Bugu i kontynuować walkę. Sowieci opanowali zaś sytuację dopiero po rozpoczęciu przesiedleń ludności polskiej na zachód.

Polska lubelska

Mimo ostrzeżeń płynących z postawy Sowietów także na terenach, które Moskwa uznawała za polskie, AK realizowała rozkaz „Burzy”. Niektóre mniejsze miejscowości były wyzwalane samodzielnie, w większych (jak Lublin czy Białystok) kluczową rolę odgrywali Sowieci, ale i tam ujawniały się struktury cywilne Delegatury Rządu na Kraj. W ciągu paru dni kończyło się tak samo jak wcześniej: rozbiciem, internowaniem lub wcielaniem do wojska. Armia Czerwona była – pomijając aspekty polityczne i emocjonalne – niezwykle uciążliwa m.in. z uwagi na rekwizycje i jej potrzeby kwaterunkowe, na porządku dziennym były kradzieże, rabunki i gwałty. Plenił się też zresztą pospolity bandytyzm. Obecność dwumilionowej masy żołnierzy uniemożliwiała akcje partyzanckie. Z mobilizacji do „Burzy” na ziemiach między Bugiem a Wisłą czynnych było tylko kilkadziesiąt oddziałów, które ograniczały się do zamachów na funkcjonariuszy komunistycznych czy czerwonoarmistów i do propagandy.

22 lipca 1944 r. moskiewskie radio ogłosiło „Manifest” Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN), opracowany w Moskwie i zaakceptowany przez Józefa Stalina. Sam Komitet powstał – dzień wcześniej – też w Moskwie. Po kilku dniach PKWN zainstalowano w Lublinie, a na jego czele postawiono Edwarda Osóbkę-Morawskiego, prokomunistycznego socjalistę. Samozwańczy Komitet, który natychmiast podpisał z Sowietami umowę o granicy na Bugu, stał się naczelnym organem administracji zdominowanym przez Polską Partię Robotniczą (PPR, *de facto* komunistyczną). Funkcję legislatywy pełniła utworzona przez PPR jeszcze w konspiracji Krajowa Rada Narodowa (KRN), z komunistą Bolesławem Bierutem jako przewodniczącym (prezydentem). Pod parasolem Armii Czerwonej tworzone sieć administracji, w tym Milicję Obywatelską (MO) i Urzędy Bezpieczeństwa (UB), odgrywające zresztą pomocniczą rolę wobec służb sowieckich.

W Polsce lubelskiej bardzo ważną rolę polityczną odegrało Wojsko Polskie zorganizowane w Rosji w maju 1943 r., którego załęczek (Dywizja im. Tadeusza Kościuszki) – dowodzony przez legionistę, ppłk. Zygmunta Berlinga – przeszedł chrzest bojowy w bitwie pod Lenino. W

Lublinie wodzem naczelnym został Michał Rola-Żymierski, także legionista i uczestnik wojny 1920 r., generał, w 1927 r. skazany za malwersacje i zdegradowany. Wojsko uczestniczyło bezpośrednio w życiu politycznym i społecznym: brało udział w parcelacji majątków ziemskich, prowadziło propagandę i indoktrynację, wydawało gazetki, drukowało plakaty i ulotki, organizowało wiece ludności. Główną rolę odgrywał w tym korpus oficerów polityczno-wychowawczych („politruków”), składający się w większości z przedwojennych komunistów. W całym korpusie oficerskim dominowali obywatele sowieccy, jako że zabrakło polskich oficerów – rozstrzelanych wiosną 1940 r. w Katyniu i Charkowie.

Okres od lipca 1944 do stycznia 1945 r. można nazwać okresem „komunistycznego Piemontu”. Określenie to – zaczerpnięte z historii włoskich walk o zjednoczenie kraju w XIX w. – jest zapewne niezbyt adekwatne, ale w Polsce lubelskiej rzeczywiście stworzono struktury nowego państwa i instytucje, które w 1945 r. rozciągnięto na cały kraj. Oprócz PPR, w której główną rolę odgrywali Bierut i Władysław Gomułka, legalnie mogły działać tylko te partie polityczne, które były akceptowane (licencjonowane) przez komunistów: Polska Partia Socjalistyczna (PPS), Stronnictwo Ludowe (SL) i Stronnictwo Demokratyczne (SD). Owe „lubelskie” PPS i SL utworzyły prokomunistyczne grupki w istniejących od końca XIX w. autentycznych partiach, które w czasie wojny wchodziły w skład rządów II RP na uchodźstwie oraz instytucji Państwa Podziemnego. Przewodniczącym funkcjonującej wciąż w Warszawie podziemnej Rady Jedności Narodowej (RJN) był Kazimierz Pużak z PPS (WRN), a premierem rządu RP Stanisław Mikołajczyk (SL). W ten sposób stworzono pozory istnienia pluralizmu i budowano zapory dla autentycznych partii i ich działaczy.

Pod nadzorem PPR odtworzono związki zawodowe, komuniści starali się zdobyć decydujący wpływ w stowarzyszeniach twórczych, spółdzielczości, instytucjach kultury, wydawnictwach. Zdominowali administrację. We wrześniu 1944 r. rozpoczęto parcelację (bez odszkodowania) majątków ziemskich, z której korzystali małorolni chłopci i pracownicy folwarczni (do końca roku ziemię otrzymało ponad 100 tys. rodzin). Była to w istocie realizacja programu autentycznego ruchu ludowego i RJN. Życie publiczne ożyło: w uruchamianych szkołach uczono z przedwojennych podręczników, władze wydały zgodę na reaktywowanie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i założyły konkurencyjny Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej, 12 sierpnia lubelski teatr miejski *Moralnością pani Dulskiej* wznowił życie teatralne. Nie brakowało w tym swoistej mimikry: 15 sierpnia, w rocznicę bitwy z bolszewikami w 1920 r., odbyła się defilada wojskowa, a na trybunie honorowej stali m.in. przedstawiciele pokonanej wtedy pod Warszawą Armii Czerwonej, 11 listopada zaś, gdy

obchodzono „jak przed wojną” rocznicę odzyskania niepodległości, na uroczystą akademię depezę gratulacyjną przysłał nie kto inny jak Josif Wissarionowicz Stalin.

Powstanie warszawskie

Powstanie rozpoczęte po południu 1 sierpnia 1944 r. miało uwolnić stolicę kraju i zainstalować w niej władze Polski Podziemnej, czyli być w istocie zwieńczeniem akcji „Burza”. Ujawniły się władze Państwa Podziemnego, konspiracyjne formacje zbrojne, partie polityczne, wydawano gazety, uruchomiono radiostacje. Powstała lokalna administracja. Walkę toczył Okręg Warszawski AK, do którego przyłączyły się mniejsze formacje. W powstaniu uczestniczyło ponad 30 tys. żołnierzy oraz liczne służby pomocnicze. Aktywna była też część ludności cywilnej (np. przy budowie barykad i przejść podziemnych). Planowany wybuch walk chciał wykorzystać rząd RP i 30 lipca do Moskwy poleciał Stanisław Mikołajczyk, aby porozumieć się ze Stalinem. Ten jednak postawił warunki niemożliwe do przyjęcia: utworzenie rządu opartego na PKWN oraz uznanie granicy na Bugu. Premier wrócił więc do Londynu bez niczego, tyle że przyjmując go, Stalin *de facto* uznał rząd RP. Jednak wnet wydał rozkaz wstrzymania działań ofensywnych. Front zastygł na Wiśle, tworząc „zachodnią granicę” Polski lubelskiej, a Armia Czerwona ruszyła na Bałkany.

Pierwsze dni walk przyniosły powstańcom sporo sukcesów. Niemcy zostali wyparci z większej części centrum miasta, z Woli, Ochoty, Mokotowa i Żoliborza, ale ich 20-tysięczny garnizon utrzymał mosty, dworce, lotniska i większość strategicznych obiektów. Głównym problemem dla powstańców było dalece niedostateczne uzbrojenie osobiste, brak broni ciężkiej i przeciwlotniczej. Brakowało też amunicji. Niemcom udało się izolować Warszawę, a powstanie na Pradze trwało zaledwie parę dni. W rezultacie stosunkowo szybko role się odwróciły: to nie powstańcy oblegali bastiony wroga, ale coraz liczniejsze siły niemieckie atakowały kurczące się tereny bronione przez Polaków. Niemcy prowadzili wojnę totalną, w której równie ważne jak zajęcie terenu było zniszczenie zabudowy i eksterminacja ludności. W ciągu kilku dni wymordowali kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców Woli, a zbiorowych mordów dokonywali we wszystkich zdobytych miejscach. Zabijali branych do niewoli powstańców, rannych w szpitalach i personel medyczny. Wypędzali mieszkańców. Niemcy na dużą skalę używali artylerii i wyrzutni raketowych bliskiego zasięgu („krowy”) oraz czołgów. Rejony zajęte przez powstańców były poddawane regularnym nalotom bombowców i samolotów szturmowych. W rezultacie miasto płonęło, a swoistym *memento mori* była licząca kilka kilometrów kwadratowych ceglana pustynia w miejscu getta zrównanego z ziemią po powstaniu z kwietnia–maja 1943 r.

W drugiej połowie sierpnia Moskwa dała aliantom zgodę na zrzuty broni i sprzętu, ale powstańcy zdołali przejąć tylko część zasobników i ich zawartość nie mogła poprawić sytuacji. Armia Czerwona i Wojsko Polskie zajęły w połowie września Pragę, lecz po jednej, zakończonej klęską, próbie desantu nie okazywały już bezpośredniej pomocy. Powstanie wyczerpało swoje siły i po trwających kilka dni rokowaniach w nocy z 2 na 3 października podpisano akt kapitulacyjny, w którym Niemcy przyznali powstańcom status jeńców wojennych. Do niewoli poszło około 15 tys. żołnierzy (w tym gen. Komorowski), w ciągu kilku dni przeprowadzono wysiedlenie wszystkich mieszkańców, pozostawiając bezludne ruiny (z nielicznymi ukrywającymi się w nich robinsonami). Bilans powstania był straszliwy: szacuje się, że zginęło 150–180 tys. cywilów i około 16 tys. powstańców; zniszczeniu uległo 2/3 zwartej zabudowy lewobrzeżnej części miasta.

Powstanie warszawskie było projektem polityczno-militarnym, który zakończył się klęską, a jego wszczęcie było już wówczas przedmiotem kontrowersji. Przeciwnikiem był m.in. wódz naczelny gen. Kazimierz Sosnkowski. Kontrowersje te trwają do dziś, choć nikt nie kwestionuje bohaterstwa żołnierzy czy sanitariuszek. Obok apologetów uważających, że była to ofiara konieczna, by okazać wolę walki, poruszyć sumienie świata, a także utrzymać ducha Polski wolnej i niepodległej, są malkontenci twierdzący, iż powstanie rozpoczęto na podstawie fałszywych diagnoz, w imię „chorego mesjanizmu”, i było nieudolnie dowodzone. W każdym razie wówczas gdy w Lublinie pod sowiecką kuratelą budowano nowy ustrój, kapitulacja powstania była kolejną, po wrześniowej, dramatyczną klęską II RP, podważała jej autorytet i wspomagała propagandę PKWN. Choć z miasta wydostali się członkowie RJN i delegat rządu Jan Stanisław Jankowski oraz gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek”, wyznaczony na następcę „Bora”, kierownictwo Polski Podziemnej praktycznie pozbawione było możliwości działania. Wyrazem realizmu i troski o losy podwładnych, ale zarazem przejawem bezradności była decyzja Okulickiego z 19 stycznia 1945 r. o rozwiązaniu Armii Krajowej, podjęta w reakcji na rozpoczętą sowiecką ofensywę.

Jako że z tymi, którzy przegrali, na ogół nie trzeba się liczyć, klęska powstania pogrzebała nadzieje na kompromis z „czerwoną zarazą”. Po ponownej – i ponownie bezskutecznej – wizycie w Moskwie (gdzie towarzyszył Winstonowi Churchillowi) Mikołajczyk złożył rezygnację swojego rządu. Anglosasi nadal cenili polskich żołnierzy, ale przestali traktować władze RP jako przydatnego partnera, uznawszy, że Polacy utrudniają uregulowanie długofalowych stosunków z Moskwą. Sprzyjało to umocnieniu formalnej pozycji PKWN, który

przywłaszczając nazwę państwa, 1 stycznia 1945 r. przemianował się na Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej.

Jałta

Jałta, pochodząca ze starogreckiego nazwa kurortu na Krymie, od 1945 r. stała się pojęciem z zakresu geopolityki. „System jałtański” był synonimem zimnej wojny i podziału świata na wrogie bloki (obozy) – demokratyczny (zachodni) i komunistyczny. Przebieg końcowej fazy wojny pozwolił Związkowi Sowieckiemu wchłonąć do swojego obozu Polskę, kilka państw bałkańskich i środkowoeuropejskich, a także utrzymać zdobycze z lat 1939–1940, które pozyskał jako sojusznik III Rzeszy. Jałta stała się też synonimem rozwiązań narzuconych mniejszym państwom przez wielkie mocarstwa, gdyż wchłanianie to odbyło się za zgodą Anglosasów. Stąd wywodzi się określenie „zdrada jałtańska”. W istocie proces ten przebiegał podczas kolejnych konferencji Wielkiej Trójki (Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego), które odbyły się w Teheranie (28 listopada – 1 grudnia 1943), Jałcie (4–11 lutego 1945) i Poczdamie (17 lipca – 2 sierpnia 1945). Już na pierwszej z nich Anglosasi zaakceptowali żądanie Stalina, by granicę sowiecką przesunąć aż do linii Bugu. Na ostatniej zaś Wielka Trójka uzgodniła przekazanie terenów niemieckich na wschód od linii Odry i Nysy pod administrację Polski, rejonu Królewca (Prus Wschodnich) Sowiecom oraz wysiedlenie z nich (także z Czechosłowacji i Węgier) wszystkich Niemców.

Symbolem stała się jednak konferencja jałtańska, gdyż na niej właśnie zdecydowano o ostatecznym podziale Europy na strefy wpływów, których granice wynikały zarówno z poprzednich ustaleń, jak i aktualnego układu frontów. Stalin czuł się już tryumfotorem, gdyż na początku lutego jego armie docierały do doliny środkowej Odry, zajęły Bukareszt i Sofię, uczestniczyły w wyzwoleniu Belgradu, zdobyły Budapeszt i rozpoczynały bitwy o Wiedeń i Wrocław, podczas gdy wojska alianckie sforsowały dopiero Ren, a ich ofensywa w północnych Włoszech nawet jeszcze nie ruszyła. Było więc pewne, że Berlin zdobędzie „czerwona zaraza”.

Sprawy polskie omawiano podczas wszystkich tych spotkań, ale to konferencja jałtańska była dla Polski specjalnie ważna, gdyż podjęto na niej rozstrzygnięcia dotyczące stosunków wewnętrznych. Stalin miał już w Polsce nie tylko swoje wojska, lecz także „swoją rząd” (PKWN), natomiast władze II RP znajdujące się w Londynie nie szukały kompromisu z Moskwą, który pociągałby za sobą zgodę na oddanie ziem wschodnich. Z wielu powodów, poczynając od bieżących potrzeb militarnych (wojna z Japonią), a kończąc na pielęgnowaniu przez Amerykanów idealistycznej wizji „narodów zjednoczonych” i „świata bez wojen”,

Anglosasi respektowali interesy Związku Sowieckiego. Nie widzieli zatem możliwości utrzymania pełnej suwerenności II RP, nie chcieli jednak wprost uznać komunistycznego Rządu Tymczasowego. W Jałcie postanowiono więc, że powstanie Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej (TRJN) będący kontynuacją lubelskiego, który zostanie „zreorganizowany na szerszej podstawie”, z włączeniem doń „przywódców demokratycznych z samej Polski i Polaków z zagranicy”. W istocie oznaczało to, że będzie zdominowany przez komunistów. Po powstaniu takiego rządu – którego podstawowym zadaniem miało być przeprowadzenie „wolnych i nieskrępowanych wyborów opartych na głosowaniu powszechnym i tajnym” z udziałem „wszystkich partii demokratycznych i antyfaszystowskich” – mocarstwa zachodnie miały uznać go za prawowity.

Na komunikat ogłoszony w Jałcie rząd RP odpowiedział z Londynu, oświadczając, że nie uznaje decyzji Wielkiej Trójki, które „nie mogą obowiązywać Narodu Polskiego”. Jednak Rada Jedności Narodowej, pozostająca wciąż w konspiracji na ziemiach zajętych przez Sowiety, stwierdziła, że wprawdzie protestuje przeciwko decyzjom jałtańskim, ale „zmuszona jest zastosować się do nich” i „deklaruje swą gotowość podjęcia rokowań”. Dla Sowieców uznanie za partnera do negocjacji instytucji konspiracyjnej byłoby zbyt poważnym ustępstwem i aby go uniknąć... aresztowali zaproszonych na rozmowy 16 czołowych działaczy Polski Podziemnej (w tym gen. Okulickiego) i osadzili ich w moskiewskim więzieniu. Rozwiązaniem, które Anglosasom pozwalało uniknąć zarówno pogłębienia konfliktu z Sowiecami, jak i prestiżowej porażki, stała się deklaracja Mikołajczyka o zgodzie na udział w rozmowach. Odbyły się one nie na neutralnym terenie, ale w Moskwie, żeby zaś polscy „przywódcy demokratyczni” nie czuli się zbyt pewni siebie, w tym samym czasie kiedy toczyli negocjacje z Bierutem i Gomułką o składzie rządu i miejscu dla sił niekomunistycznych w polityce krajowej, w innym moskiewskim gmachu, przed Kolegium Wojskowym Sądu Najwyższego, odbywał się publiczny proces dopiero co aresztowanych polskich przywódców. Jak na sowieckie obyczaje wyrok był „łagodny” – najwyższa kara to 10 lat więzienia (ale trzech skazanych zmarło w sowieckich więzieniach). Proces i rozmowy zakończyły się tego samego dnia (21 czerwca), co było oczywistym upokorzeniem Mikołajczyka i jego współtowarzyszy. W ustępstwach zabrnęli już jednak zbyt daleko, aby zerwać porozumienie. Co ważniejsze, uważali, że „umowa moskiewska” jest ostatnią szansą na uniknięcie brutalnego skomunizowania kraju. Nie wzięli na serio słów, które powiedział im wtedy wprost w oczy Gomułka: „władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”.

Wszystkie państwa, do których weszła Armia Czerwona, znalazły się w sowieckiej części „systemu jałtańskiego” niezależnie od tego, czy były sojusznikami III Rzeszy (Bułgaria, Rumunia i Węgry), czy należały do koalicji antyniemieckiej (Czechosłowacja, Jugosławia i Polska). Niejako na ochotnika wpisała się do bloku sowieckiego Albania, gdzie władzę komuniści zdobyli samodzielnie. Odmienne były losy Finlandii, która wprawdzie została pokonana przez Sowietów, ale Stalin uznał za wygodniejsze traktowanie jej jako państwa neutralnego. System ten objął również sowiecką strefę okupacyjną Niemiec (przyszłą Niemiecką Republikę Demokratyczną, NRD). Trudno było wówczas jednoznacznie stwierdzić, czy sytuacja w naszej części Europy jest w jakimś stopniu labilna, czy też należało uznać, że Gomułka trafnie zapowiedział przyszłość. Na Węgrzech, *de iure* okupowanych, jesienią 1945 r. odbyły się wybory, które wygrała Niezależna Partia Drobnych Rolników i na czele rządu koalicyjnego stanął ludowiec. Do Pragi wrócił z londyńskiej emigracji prezydent Edvard Beneš, zaczęło się odtwarzać przedwojenne życie polityczne i społeczne, a Armia Czerwona opuściła Czechosłowację jeszcze z końcem roku (wróci w 1968 r.). Bułgaria i Rumunia wciąż były monarchiami, natomiast w okupowanej Austrii komuniści ponieśli w wyborach drastyczną klęskę. Mogło się zatem wydawać, że istnieje jakieś pole manewru. Tak zapewne myślało wielu. Na pewno Mikołajczyk, a być może nawet przywódca Polski Podziemnej, zanim znaleźli się na Łubiance.

Polska Tymczasowa

Bierut jako przewodniczący („prezydent”) KRN powołał 28 czerwca TRJN. Premierem pozostał Osóbka-Morawski, wicepremierami zostali Gomułka i Mikołajczyk, na 21 ministerstw działacze niezależni od PPR objęli tylko cztery, a w KRN, traktowanej jako sejm, dostali niespełna 15 proc. miejsc, co oznaczało, że nie będą mieli wpływu na legislację. Podobnie zmarginalizowani byli w administracji centralnej i terenowej. Formalności zostały jednak spełnione, zatem 5 lipca 1945 r. rząd ten został uznany przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię. Pozostało już „tylko” przeprowadzenie – zgodnie z decyzjami jałtańskimi *as soon as possible* – „wolnych i nieskrępowanych wyborów”, co będzie oznaczało, że główne zadanie TRJN zostało wypełnione, kończy się więc okres tymczasowości i patronatu Wielkiej Trójki nad Polską.

Ukonstytuowaniu się rządu „jałtańskiego” towarzyszyło rozwiązanie się z dniem 1 lipca konspiracyjnej Rady Jedności Narodowej, która w składzie zastępującym aresztowanych w marcu ogłosiła manifest „Do Narodu Polskiego i do Narodów Zjednoczonych” oraz dokument znany jako „Testament Polski Walczącej”. RJN postulowała w nim, aby dalszą walkę o

wolność i niepodległość prowadzić środkami politycznymi. Delegat rządu na kraj Jerzy Braun zapowiedział likwidację struktur cywilnych, a płk Jan Rzepecki „Ślusarczyk”, delegat Sił Zbrojnych na Kraj (DSZ), wygaszanie działalności partyzanckiej. Generał Władysław Anders pisał z Londynu jednoznacznie: „nie mamy zamiaru prowadzić walki zbrojnej, jak to miało miejsce w czasie okupacji niemieckiej”, i Rzepecki rozwiązał DSZ. W ten sposób zakończyła się – niejako przez abdykację – działalność Polskiego Państwa Podziemnego i władze RP na emigracji utraciły podległe im instytucje w kraju. Nie oznaczało to oczywiście, iż istniejące wciąż organizacje konspiracyjne i grupy zbrojne znikną czy też że bez „błogosławieństwa z Londynu” nowe nie będą mogły się pojawić. W obozie niepodległościowym zapanowała bowiem zasada *liberum conspiro*, potępiana przez XIX-wiecznych konserwatystów, ale wciąż się odradzająca.

Trudno jednoznacznie określić system polityczny owej Polski Tymczasowej, choć znając późniejszy bieg wydarzeń, wiemy, że punktem docelowym był komunizm wedle modelu sowieckiego (czyli totalitarny). Do oficjalnego użytku wprowadzono termin „demokracja ludowa” (tautologiczne, bo oznacza „ludowa władza ludu”). Biegli w doktrynie marksistowskiej – jak filozof Adam Schaff – twierdzili, że „demokracja ludowa jest formą dyktatury proletariatu”. Dyktatura w formie demokracji – tak można by zatem określić istotę owej autorytarnej hybrydy. Było to pozbawione suwerenności i na poły okupowane państwo zbudowane na autorytarnej strukturze: dominacja jednej partii (PPR), rozbudowane resorty siłowe, prawo szafujące karą śmierci, masowe aresztowania i procesy, wszechobecna cenzura, intensywna propaganda i indoktrynacja. Do tego radykalna przebudowa gospodarki bez respektowania prawa własności. Równocześnie jednak tolerowanie Kościoła katolickiego, eksponowanie symboli i haseł patriotycznych, wezwania do wspólnego wysiłku na rzecz odbudowy kraju, odwoływanie się do tradycji narodowej (piastowskiej), przyciąganie do współpracy fachowców (np. Eugeniusza Kwiatkowskiego, wieloletniego ministra i wicepremiera w II RP). Przystępowała do pracy uniwersytecka profesura, w upaństwowionym (w styczniu 1946 r.) przemyśle kierownicze stanowiska obejmowała stara kadra inżynierska, dyplomowani lekarze leczyli, a przedwojenni sędziowie ferowali wyroki i rozstrzygali spory. Z Zachodu przyjechała do ojczyzny połowa żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, w tym kilkunastu generałów. Stosunkowo szybko zakończono parcelację majątków ziemiańskich, a na terenach ponemieckich w miejsce „majątków junkierskich” tworzono wielkoobszarowe Państwowe Nieruchomości Ziemskie (od 1949 r. jako Państwowe Gospodarstwa Rolne, PGR). Powszechny był spontaniczny, a nawet entuzjastyczny udział w odbudowie zrujnowanych miast i

zdeprawianej infrastruktury, przy uruchamianiu przemysłu. Nastąpiła błyskawiczna regeneracja handlu detalicznego, w Warszawie zrazu bazarowego i ulicznego. W większych miastach widoczna była duża aktywność kulturalna i edukacyjna, w Łodzi i Toruniu utworzono nowe uniwersytety, a dawniejsza Academia Leopoldina stawała się Uniwersytetem Wrocławskim. Rozpoczęło się zasiedlanie ziem poniemieckich, na których organizowano również osadnictwo wojskowe. W 1946 r. KRN uchwaliła założenia 3-letniego Planu Odbudowy Gospodarczej, który zaczęto szybko wdrażać. Na polecenie Moskwy Polska odrzuciła wprawdzie udział w ogłoszonym w 1947 r. planie Marshalla, który postawił na nogi Europę Zachodnią, ale przyjmowała niezwykle przydatną pomoc z UNRRA. Nie tylko lekarstwa, żywność czy ubrania, lecz także konie i traktory. Wartość tej pomocy sięgała 480 mln dolarów, co stanowiło największą kwotę w Europie.

Na oficjalnej scenie politycznej Mikołajczyk znajdował się w dwuznacznej sytuacji: był członkiem koalicji rządowej i zarazem liderem największej partii opozycyjnej – Polskiego Stronnictwa Ludowego (PSL) – i w wielu istotnych sprawach zajmował inne stanowisko niż koalicyjna większość. Pozbawiony był sojuszników, gdyż PPR uniemożliwiła legalizację Stronnictwa Narodowego i autentycznej PPS, a chadeckie Stronnictwo Pracy opłatały komunistyczne „wtyczki”. Mikołajczyk nie miał jednoznacznego poparcia ze strony Kościoła, nie utrzymywał kontaktów z konspiracją antykomunistyczną, obawiając się, że zarzut współpracy z „reakcyjnym podziemiem” wystawiałby terenowych działaczy PSL na represje. Zresztą ugrupowania obozu narodowego traktowały go wrogo, tak samo jak władze II RP w Londynie, w których uważano go za zdrajcę i nazywano „kawalerem jałtańskim”. Bardziej skłonne do wspierania PSL były środowiska poakowskie.

Media rządowe i zależne od PPR prowadziły gwałtowne kampanie propagandowe przeciwko PSL i osobie Mikołajczyka, dochodziło do zabójstw działaczy stronnictwa przez „nieznanych sprawców” i już w 1945 r. nastąpiły pierwsze aresztowania lokalnych aktywistów. Niemniej stronnictwo o półwiekowej ciągłości istnienia bardzo szybko stało się największą partią (około 600 tys. członków), miało rozbudowane struktury terenowe (także w miastach), silne wsparcie w wiejskiej organizacji młodzieżowej (Związek Młodzieży Wiejskiej RP „Wici”), wydawało kilka – bezlitośnie cenzurowanych – czasopism, w tym jeden dziennik („Gazeta Ludowa”). Lider partii, który otrzymał poparcie schorowanego już „króla chłopów” Wincentego Witosa, wszędzie był witany z entuzjazmem. Wielu uczestników wieców, na których przemawiał, traktowało go jako reprezentanta demokratycznego Zachodu, nosiciela przekonania, że Anglosasi pokonają „czerwoną zarazę”. Mikołajczyk nie wierzył jednak w III wojnę światową

i żywił nadzieję na zwycięstwo w – obiecanych w Jałcie – wyborach. Jednak jak to często bywa w przypadku istnienia dominującej „partii władzy”, do PPR i jej przybudówek (jak Związek Walki Młodych, ZWM) masowo napływali chętni, przyciągani czy to ideologią, chęcią awansu społecznego czy konformizmem. Z podobnych powodów powiększały się szeregi PPS, uważanej za rządową „partię numer 2”. Istniało w niej skrzydło dążące do autonomii, a wśród partyjnych intelektualistów zrodziła się koncepcja „humanizmu socjalistycznego”, konkurująca z komunistycznym marksizmem-leninizmem, ale we wszystkich kwestiach zasadniczych popesowcy popierali PPR. Prokomunistyczne SL, prezentujące się jako „lewica ruchu ludowego”, i SD wiernie wykonywały polecenia patronki politycznej. W rezultacie na scenie legalnej PSL otoczone było raczej wrogami niż przeciwnikami. Aczkolwiek za zgodą PPR ukazywały się pod auspicjami Kościoła czasopisma skupiające środowiska niezależnej inteligencji katolickiej (jak „Tygodnik Powszechny” czy „Tygodnik Warszawski”), nie miały one jednak możliwości podejmowania masowej działalności politycznej. Sam Kościół katolicki, będąc potęgą duchową, z natury rzeczy opozycyjną wobec ateistycznego komunizmu i wywierającą ogromny wpływ na większość społeczeństwa, powstrzymywał się od działań bezpośrednio politycznych i unikał pochwał dla PSL. Nie popierał oczywiście ani PPR, ani jej satelitów, ale nie angażował się w działalność opozycyjnych partii i organizacji.

Równocześnie w kraju panował powojenny chaos, rozprzestrzeniały się choroby weneryczne, gruźlica atakowała wynędzniałe okupacją dzieci, były setki tysięcy sierot i kalek wojennych. Powszechny był niedostatek, doskwierały braki w zaopatrzeniu, czarny rynek, kolejki, system kartkowy, na wsi obowiązkowe dostawy (kontyngenty) produktów rolnych. Nic dziwnego, że w latach 1945–1947 wybuchło ponad tysiąc strajków (głównie w aglomeracji łódzkiej oraz na Śląsku). Chaos wzmagaly masowe przemieszczenia ludności, powroty z obozów i robót przymusowych, rozlokowywanie się – od Olsztyna po Szczecin i Wrocław – nowych mieszkańców, którzy zajmowali miejsce wysiedlanych milionów dotychczasowych, niemieckich, gospodarzy. Napłynęło tam nie tylko około 1,5 mln wysiedleńców „zza Buga”, ale równie licznie przenosili się mieszkańcy wsi i miasteczek z centralnej i południowej Polski. Pojawili się repatrianci z Francji czy Belgii, a nawet Bośni. W czasie pierwszego powojennego lata przez kraj przeciągały niezliczone stada pędzonego na wschód *trofiejnowo skota*, jechały tysiące sowieckich pociągów z wojenną zdobyczą i powracającymi do domu czerwoarmistami.

Na „Ziemie Odzyskane” ruszyły tysiące bezwzględnych szabrowników, ale wielu grasowało też w zrujnowanej Warszawie, a niektóre urzędy państwowe urządzały rajdy w poszukiwaniu

poniemieckich dóbr (zwłaszcza biurek). Panoszył się bandytyzm: w latach 1945–1946 zarejestrowano ponad 60 tys. rozbójniczych napadów i ponad 10 tys. zabójstw. Nie wygasły rozpalone przez wojnę i okupację stare emocje przeciwko Niemcom, których kilkaset tysięcy – jeńcy i rodziny czekające na wysiedlenie – zapełniało obozy. Podobnie jak folksdojczycy czekający na rehabilitację bądź wysiedlenie. Kilka publicznych egzekucji niemieckich zbrodniarzy przyciągnęło wielotysięczne widownie (pierwszą przeprowadzono na Majdanku w grudniu 1944 r.). Napięta sytuacja panowała na Ziemiach Południowo-Wschodnich, gdzie mimo przesiedlenia za nową granicę blisko pół miliona Ukraińców wciąż istniała partyzantka UPA, a partyzanci Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) organizowali najazdy na ukraińskie wioski, m.in. na Wierzchowiny, gdzie 6 czerwca 1945 r. wymordowano 194 osoby. Sytuacja została rozwiązana dopiero wiosną 1947 r. po przymusowym rozsiedleniu na Ziemię Północną i Zachodnią pozostałej ludności ukraińskiej i łemkowskiej (akcja „Wisła”). Mimo powszechnej wiedzy o gettach i obozach zagłady niespodziewaną skalę przybrała przemoc antysemicka (często połączona z rabunkiem). Wedle szacunkowych obliczeń w latach 1944–1946 zamordowano ponad tysiąc ocalańców z Holocaustu i Żydów powracających z zagranicy (głównie ze Związku Sowieckiego). Oprócz zabójstw pojedynczych osób lub rodzin kilkakrotnie doszło do miejskich tumultów (m.in. w Rzeszowie i Krakowie), a na początku lipca 1946 r. w Kielcach urządzono masowy pogrom, w którym śmierć poniosło 40 Żydów. Jednym ze skutków tego pogromu był exodus (nieoficjalny, ale tolerowany przez władze) blisko 100 tys. osób.

Określenie „wielka trwoga”, przeniesione przez Marcina Zarembę z rewolucyjnej Francji na Polskę lat 1945–1947, dobrze oddaje stan emocji społecznych, ale oczywiście nie wyczerpuje opisu realnej sytuacji 24 mln mieszkańców Polski Tymczasowej. Chaos i przemoc panowały jednak w wielu krajach Europy, nie tylko tych, które weszły w tryby narzuconej przez Moskwę „rewolucji społecznej” (jak Polska czy Bułgaria), ale i tych bezpośrednio wciągniętych w wyniszczające tryby wojny i okupacji, gdyż niezależnie po której stronie w niej uczestniczyły, przechodziły kataklizmy rozliczeń (jak Jugosławia, Włochy czy Francja). Turbulencje wojenne przyczyniły się do wahnięcia na lewo opinii publicznej: w 1945 r. – wybory w Wielkiej Brytanii wygrała Partia Pracy, a po wyborach we Francji i Włoszech tamtejsi komuniści znaleźli się w koalicjach rządowych. Brytyjski historyk Keith Lowe książkę poświęconą Europie w pierwszych powojennych latach zatytułował znamienne – „Dziki kontynent” (*Savage Continent*).

Narzędzia represji

Z uwagi na niechęć większości Polaków do komunizmu i Związku Sowieckiego oraz istnienie legalnej opozycji i konspiracji niepodległościowej zakorzenienie nowego systemu – nawet w formie „demokracji ludowej” – było niemożliwe bez masowego i systematycznego użycia siły. Zarówno Sowieci, jak i polscy komuniści zdawali sobie z tego sprawę. Wyjście było proste: Armia Czerwona i NKWD zduszą pierwszy opór i umożliwią zbudowanie polskiego aparatu przemocy i kontroli. Tak też się stało.

W okresie Polski lubelskiej najważniejsze były – działające na głębokość do 160 km od linii frontu – wojska NKWD „ochrony tyłów” i sowieckie komendantury miast. Oprócz zwalczania (nielicznej) niemieckiej dywersji oraz wyłapywania własnych maruderów ścigały polskich partyzantów, kontrolowały ruch drogowy i kolejowy, patrolowały miasta, zarządzały kilkunastoma obozami, w których przetrzymywano jeńców, a także akowców. Podczas kontroli, pościgów i obław do połowy 1945 r. sowieckie służby zatrzymały 110–120 tys. osób, w tym kilkanaście tysięcy aresztowano, a do obozów w głębi Rosji wywożono internowanych żołnierzy AK (pierwszy większy transport wyruszył z Białegostoku 5 września 1944 r.). W październiku sformowana została w Lublinie 64 Dywizja Wojsk Wewnętrznych NKWD, którą rozlokowano w kilku garnizonach. Największą operacją antypartyzancką przeprowadzoną przez Sowietów była tzw. obława augustowska w lipcu 1945 r. W jej trakcie zatrzymano około 7 tys. osób, a ponad 500 zamordowano. Wiosną 1945 r. wywieziono do obozów pracy ponad 20 tys. osób z Pomorza (głównie folksdojczów) i przeszło 25 tys. górników ze Śląska (około połowy stanowili Polacy i Ślązacy). W sowieckich obozach dla internowanych znalazło się ponad 35 tys. akowców, a w obozach dla jeńców niemieckich było około 40 tys. Polaków (folksdojczów) i Ślązaków.

Niezależnie od NKWD działały grupy kontrwywiadu wojskowego Smiersz, które prowadziły działalność operacyjną (agenturalną). Zwierzchnikiem całości był gen. Iwan Sierow, doradca ministra bezpieczeństwa publicznego. Smiersz nie tylko aresztował działaczy konspiracji, ale podejmował też z nimi „gry polityczne”. Sierow odbył rozmowy m.in. z aresztowanym Bolesławem Piaseckim, przywódcą skrajnie prawicowego Obozu Narodowo-Radykalnego Falanga, i zarekomendował go Bierutowi do stworzenia przyczółku w polskim katolicyzmie. Najbardziej znane było wspomniane już podstępne aresztowanie 16 przywódców Polski Podziemnej i wywiezienie ich do Moskwy. Za ten niewątpliwy sukces Sierow został uhonorowany tytułem Bohatera Związku Sowieckiego. Wojska „ochrony tyłów” i Smiersz pod dowództwem Sierowa przesuwali się do Niemiec wraz z frontem, obecność wojsk

wewnętrznych stopniowo ograniczano, ale opuściły Polskę dopiero po wyborach z 1947 r. Sowiecka armia jako Północna Grupa Wojsk, licząca początkowo ponad 200 tys. żołnierzy, zamknęła się w garnizonach i na poligonach na zachodzie i północy kraju. Stacjonowała w Polsce prawem kaduka, gdyż aż do grudnia 1956 r. nie istniała formalna umowa o jej pobycie.

Tworzenie polskiego aparatu bezpieczeństwa rozpoczęto, zanim sowieckie tanki przekroczyły Bug: w marcu 1944 r. ponad 200 żołnierzy z armii Berlinga zostało wysłanych do Szkoły Oficerskiej NKWD nr 366 w Kujbyszewie. W końcu lipca wręczono im dyplomy i w trybie pilnym wysłano do Polski, gdzie właśnie powstawał Resort Bezpieczeństwa Publicznego (od 1 stycznia 1945 r. jako ministerstwo, MBP). Oprócz „kujbyszewiaków” w tworzeniu aparatu bezpieczeństwa uczestniczyli m.in. oficerowie i podoficerowie WP, partyzanci z peperowskiej AL, polscy uczestnicy grup dywersyjnych NKWD. Do służby werbowano też na miejscu młodych ludzi polecanych przez PPR lub ZWM. W rezultacie w grudniu 1944 r. resort zatrudniał 2,5 tys. funkcjonariuszy UB, a w jego gestii znajdowały się także Milicja Obywatelska (MO), więzienia i obozy oraz Wojska Wewnętrzne (później Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, KBW). Na czele MBP stał Stanisław Radkiewicz, członek Biura Politycznego KC PPR, komunista z długoletnim stażem, który wojnę spędził w Związku Sowieckim. Podobną proveniencję mieli niemal wszyscy zajmujący stanowiska kierownicze. Niektóre obsadzali oficerowie sowieccy (np. w kadrach, finansach, łączności), a ponadto istniał (od szczebla powiatu) kilkusetosobowy korpus doradców (sowiecików). O ile doradcy stopniowo wracali do ojczyzny, o tyle rodzimą wyższą kadrę „bezpieki” cechowała znaczna stabilność i większość szefów departamentów operacyjnych oraz ważniejszych urzędów terenowych (WUBP) latami trwała na stanowiskach. Podobnie jak ich zwierzchnik, który w ministerialnym gabinecie gospodarzył aż do grudnia 1954 r., gdy wymiół go pierwszy powiew postalinowskiej odwilży. Aparat bezpieczeństwa nie tylko całkowicie podlegał PPR, ale był też upartyjniony: w 1947 r. należało do niej 82 proc. funkcjonariuszy.

W styczniu 1945 r., śladem frontu, ruszyły za Wisłę grupy operacyjne, zakładając – po Szczecinie i Zgorzelecu – urzędy wojewódzkie (WUBP), miejskie (MUBP) i powiatowe (PUBP). Jesienią centrala i urzędy terenowe liczyły już około 26 tys. funkcjonariuszy, w MO było ponad 62 tys. osób, a w KBW służyło około 32 tys. żołnierzy (z poboru). Ważną rolę w operacyjnej działalności „bezpieki” odgrywały dwa departamenty, mające odpowiedniki do poziomu powiatu: Departament V, zajmujący się m.in. Kościołem i organizacjami katolickimi, partiami legalnymi (poza PPR), organizacjami społecznymi, środowiskami młodzieżowymi i akademickimi, oraz Departament III „do walki z reakcyjnym podziemiem”, czyli konspiracją i

partyzantką (także ukraińską). W końcu 1945 r. tylko ten ostatni dysponował już kilkuset agentami i ponad 2 tys. informatorów, można więc uznać, że formowanie „bezpieki” zostało zakończone i cała machina osiągnęła gotowość do samodzielnego działania. W terenie uzupełniała ją aktywność wojska, którą zapewniał rozkaz MON z 3 grudnia 1945 r. nakładający na jednostki liniowe i garnizony „współodpowiedzialność za bezpieczeństwo na swoim terenie”. Ponadto, inaczej niż w Związku Sowieckim, Wojsko Polskie miało niezależny od MBP system ochrony wewnętrznej i kontrwywiadu – Zarząd Informacji (później Główny Zarząd Informacji, GZI), w całości zorganizowany przez Smiersz.

Odrębną część systemu represji stanowił „wymiar sprawiedliwości” (termin ten raczej kiepsko pasuje do ówczesnej rzeczywistości ustrojowej) – zbiór aktów prawnych oraz prokuratury i sądy. O ile zadaniem organów bezpieczeństwa była izolacja, a często po prostu fizyczna likwidacja tych, których uważano za wrogów, o tyle formalny cykl represji zaczynał się od inwigilowania (tropienia) rzeczywistych lub domniemanych wrogów, ścigania ich i chwytania (aresztowania) – co było domeną „bezpieki” – ale kończył się śledztwem i orzeczeniem lub wyrokiem, to zaś należało do prokuratur i sądów, które nie podlegały MBP. Podstawowe regulacje prawne, jakimi się posługiwano, zawarte były w dekreście O ochronie państwa (z 30 października 1944 r.), którego dyspozycje były niezwykle restrykcyjne (np. przewidywały w kilkunastu przypadkach karę śmierci). Po nowelizacjach przekształcono go w dekret O przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa (z 13 czerwca 1946 r.), nazywanym „małym kodeksem karnym”, który obowiązywał przez następne 23 lata. Towarzyszyły im dekryty, takie jak O wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy [...] oraz dla zdrajców Narodu polskiego (z 31 sierpnia 1944 r.) czy O odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszyzację życia państwowego (z 2 stycznia 1946 r.), które były wykorzystywane do oskarżania i skazywania przeciwników politycznych.

Poza nadrzędnością instancji PPR nad aparatem bezpieczeństwa i instytucjami „wymiaru sprawiedliwości” (w tym nad sprawami personalnymi) istotnym czynnikiem represji była dominacja aparatu bezpieczeństwa nad przebiegiem śledztwa. Zlikwidowano urząd sędziego śledczego, który w II RP dawał gwarancję niezależności dochodzenia, a funkcjonariusze UB (lub Informacji) prowadzili śledztwa bez rzeczywistego nadzoru prokuratorskiego, zdarzało się też, że przekazywali prokuratorom gotowe akty oskarżenia. Zadaniem dochodzenia było oprócz wydobycia od aresztowanych rzeczowych informacji również ich złamanie, aby podczas procesu przyznawali się nie tylko do popełnionych, lecz także do niepopełnionych czynów, aby potępiali siebie, swoich towarzyszy i zwierzchników, organizację, do której należeli (lub nie

należeli) czy wyznawaną ideologię. Miało to zarówno zdyskredytować podsądnych, jak i zastraszać opinię publiczną. Piony śledcze odgrywały więc kluczową rolę w funkcjonowaniu tej – jak pisała Annie Kriegel (*Les grands procès dans le systèmes communistes*) – „pedagogiki z piekła rodem” (*pédagogie infernale*) opartej na stosowaniu w śledztwie rozległego repertuaru tortur fizycznych i psychicznych.

Duże znaczenie miała militaryzacja „wymiaru sprawiedliwości”. Sądownictwo i prokuratury wojskowe niejako z natury rzeczy odznaczają się surowością i uległością wobec władzy zwierzchniej. W tym przypadku była nią PPR, która niepodzielnie (jeśli nie liczyć jej własnej zależności od Moskwy) panowała nad armią. Już we wrześniu 1944 r. ukazał się dekret O Kodeksie Karnym Wojska Polskiego, zastępujący dotychczasowy z 1932 r. Podstawowa zmiana polegała na wprowadzeniu rozdziału „Zbrodnie stanu”, za które uważano np. „udział w nielegalnym związku” czy „wrogą propagandę”, oraz na możliwości sądenia osób cywilnych za czyny niemające związku z wojskiem czy szpiegostwem. W latach 1944–1945 działały wojskowe sądy doraźne, a w KBW nawet polowe sądy doraźne (wydały ponad 350 wyroków śmierci). Sytuację ustabilizowało – jakkolwiek to brzmi – powołanie w styczniu 1946 r. wojskowych sądów rejonowych (WSR) w miastach wojewódzkich, a więc poza strukturą organizacyjną WP opartą na podziale na okręgi wojskowe. Szacuje się, że w latach 1944–1948 różnego rodzaju sądy wojskowe skazały z powodów politycznych około 45 tys. (w tym WSR około 32,5 tys.) cywilów, czyli osób niepełniących czynnej służby wojskowej. Uczestnicy niepodległościowego oporu zbrojnego uważali się za żołnierzy, ale jako że nie służyli w „ludowym” WP, sędziowie uznawali ich za „bandytów”. To głównie na nich sądy wojskowe wydały w latach 1944–1947 około 3800 wyroków śmierci, z których połowa została wykonana.

Konspiracja polityczna

Konspiracja niepodległościowa stanowiła naturalny ciąg dalszy ruchu oporu zapoczątkowanego jesienią 1939 r. Według szacunków w okresie apogeum, w pierwszej połowie 1944 r., ponad pół miliona osób zaangażowało się w różne formy aktywności podziemnej i formacje zbrojne (często związane z partiami politycznymi). Największa, Armia Krajowa, stanowiła komponent Polskich Sił Zbrojnych, a więc niejako z urzędu była bezpartyjna. Po dramatycznej klęsce powstania w stolicy, po trwającym do ostatniej chwili okupacji terrorze niemieckim, który został natychmiast zastąpiony brutalnym „oczyszczaniem tyłów frontu” przez NKWD, ruch oporu stracił siłę. Osłabienie miało nie tylko charakter ilościowy będący wynikiem represji i strat wojennych, lecz także wymiar psychiczny jako rezultat zgnębienia klęskami i odnowieniem się przekonania o osamotnieniu Polski. Skłaniało

to wiele osób do pogodzenia się z dyktatem jałtańskim, co władze wykorzystywały, m.in. namawiając niektórych dowódców partyzanckich do rozwiązywania oddziałów, a w sierpniu 1945 r. ogłosiły amnestię. Do jej realizacji udało się wciągnąć grono oficerów AK, w tym jednego z bohaterów powstania warszawskiego, płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława”. Do komisji amnestyjnych zgłosiło się ponad 30 tys. osób, głównie akowców. Choć większość z nich nie prowadziła już działalności zbrojnej, deklarując tylko przynależność z czasów wojny, był to wyłom we froncie oporu, gdyż częściowo podzielił środowisko.

Rozwiązanie AK i konspiracyjnej Rady Jedności Narodowej, utworzenie rządu z udziałem Mikołajczyka i uznanie go przez mocarstwa zachodnie oznaczało destrukcję układu politycznego, który wytworzył się w trakcie wojny, a komuniści pogłębiali powstałe podziały. Nie mogli wprawdzie powstrzymać Mikołajczyka przed przekształceniem konspiracyjnego SL „Roch” w PSL, ale sparaliżowali Stronnictwo Pracy przez ulokowanie w nim grupy wrogiej linii programowej tej partii i Karolowi Popielowi, co skłoniło go do zawieszenia działalności partii. „Lubelską” PPS zdołali utrzymać w rękach osób im uległych. Podobnie było z SD i „lubelskim” SL. Zablokowali próbę Zygmunta Żuławskiego powołania Polskiej Partii Socjaldemokratycznej i odrzucili inicjatywę działaczy SN, którzy utworzyli Komitet Legalizacyjny Stronnictwa Narodowego. Natomiast bardziej od nich radykalny Bolesław Piasecki otrzymał zgodę na wydawanie tygodnika („Dziś i Jutro”), który stał się załącznikiem Stowarzyszenia PAX.

W rezultacie obok legalnej istniała – pomniejszona o SL „Roch” (PSL) i SP – konspiracyjna scena polityczna. Część obecnych na niej partii była raczej niewielkimi „klubami politycznymi”, bez zaplecza, struktur terenowych i formacji zbrojnej. W takiej sytuacji znajdował się założony przez Pużaka Krajowy Ośrodek WRN, który po niespełna rocznym istnieniu rozwiązał się w listopadzie 1946 r.; dotyczyło to także dwóch partii piłsudczykowskich wywodzących się z czasu okupacji, Stronnictwa Niezawisłości Narodowej (SNN) Wacława Lipińskiego oraz Polskiego Stronnictwa Demokratycznego (PSD) Henryka Józewskiego. Obie na początku stycznia 1947 r. zostały rozbite przez UB. Podobny był los Niezależnej PPS Adama Obarskiego. W konspiracji działała Organizacja Polska (przed wojną tajny organ kierowniczy ONR ABC), będąca politycznym zwierzchnikiem NSZ, założonych w 1942 r. OP nie uznawała Delegatury Rządu na Kraj ani zwierzchnictwa AK, a gdy w 1944 r. część NSZ podporządkowała się AK, doszło do krwawych porachunków. NSZ opowiadały się za zasadą „dwóch wrogów”, wszakże nie mając (na szczęście dla siebie) możliwości starcia się z Armią Czerwoną, atakowano partyzantów peperowskiej GL/AL, żydowskie „grupy

przetrwania” i sowieckich dywersantów. W styczniu 1945 r. większość kierownictwa OP razem z Brygadą Świętokrzyską wyszła na zachód z pomocą Wehrmachtu. Osłabiło to autorytet i możliwości działania krajowych władz OP, a jednostki partyzanckie w większości przyłączyły się do Narodowego Związku Wojskowego (NZW), choć z reguły używały dawnej nazwy. W lutym 1947 r. aresztowany został Stanisław Kasznica, kierownik polityczny OP, co oznaczało faktyczny koniec aktywności partii.

W konspiracji pozostało Stronnictwo Narodowe, którego znaczenie w antykomunistycznym podziemiu wynikało m.in. z półwiekowej ciągłości i równie długiej rywalizacji z obozem Piłsudskiego o „rząd polskich dusz”. W czasie wojny SN wchodziło w skład władz RP na obczyźnie i struktur Państwa Podziemnego, było politycznym zwierzchnikiem Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW), od 1942 r. scalonej z AK. W listopadzie 1944 r. SN zainspirowało współpracę NOW-AK z częścią NSZ-AK, powołując Narodowe Zjednoczenie Wojskowe. W intencji twórców miało ono zastąpić pograżoną w popowstaniowym kryzysie AK. Korzystne dla SN było to, że po dymisji rządu Mikołajczyka odgrywało ono poważną rolę w „polskim Londynie”, gdzie znajdowało się formalne kierownictwo partii (Tadeusz Bielecki), m.in. kontrolujące cywilne kanały łączności z krajem. Stronnictwo zachowało część struktur terenowych, niektóre wydawnictwa prasowe i wpływ na elitarną Młodzież Wszechpolską. Najważniejszy był jednak ścisły związek z NZW, które podlegało Wydziałowi Wojskowemu Zarządu Głównego. Zjednoczenie dysponowało rozbudowaną strukturą terenową (5 obszarów, 18 okręgów) i wydzielonym pionem dywersji (Pogotowie Akcji Specjalnych, PAS). W drugiej połowie 1946 r. przeprowadzono jednak wiele aresztowań w samym NZW i w centralnych strukturach partyjnych, w grudniu tegoż roku zostało niemal *in corpore* aresztowane Prezydium ZG. Na przełomie 1947 i 1948 r. zarówno stronnictwo, jak i NZW przestały istnieć jako ogólnokrajowe, zwarte organizacje.

Kluczowe znaczenie dla zasięgu i kształtu konspiracji miało zapełnienie luki po niespodziewanym rozwiązaniu AK. Zrazu jej miejsce zajęła budowana już od 1943 r., ściśle zakonspirowana, kadrowa organizacja NIE, która w przypadku okupacji sowieckiej miała zastąpić (lub uzupełnić) AK. W styczniu 1945 r. następstwo zostało dokonane, ale organizacja kadrowa nie mogła przecież wchłonąć wielotysięcznej rzeszy żołnierzy. Po aresztowaniu twórcy NIE gen. Emila Fieldorfa „Nila” szefem został płk Jan Rzepecki „Ślusarczyk”, a w maju rozwiązano NIE i powołano Delegaturę Sił Zbrojnych na Kraj z nim na czele. Miała ona być czymś w rodzaju „syndyka masy upadłościowej” AK. Jednak mimo wyraźnych poleceń z Londynu duża część oddziałów bojowych i struktur terenowych nie rozwiązała się, lecz nadal

prowadziła akcje zbrojne, posługując się często zastępczymi nazwami, takimi jak Obywatelska Armia Krajowa (OAK lub AKO) czy Ruch Oporu Armii Krajowej (ROAK).

W dniu 6 sierpnia 1945 r. Rzepecki, bez konsultacji z Londynem, rozwiązał DSZ, a 2 września razem ze swymi najbliższymi współpracownikami z NIE i Delegatury powołał Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji „Wolność i Niezawisłość”, zwykle nazywany po prostu WiN (lub Zrzeszenie WiN). Wszyscy jego założyciele byli w II RP zawodowymi oficerami WP, co może wydawać się dziwne w przypadku organizacji, która odżegnuje się od wojny. Nie był to jednak kamuflaż, gdyż Rzepecki rzeczywiście uważał, że czas walki zbrojnej w kraju się skończył. Założenia ujęte w nazwie organizacji nie odpowiadały wszelako oczekiwaniom większości chętnych do walki akowców, a Ruch Oporu bez Wojny odziedziczył po AK nie tylko strukturę organizacyjną, broń, „meliny” i łączność z Londynem, lecz także kadre oficerską i żołnierszą. WiN był próbą przekształcenia organizacji zbrojnej w ruch społeczny. Natomiast jego kierownictwo (Rzepecki) miało ambicje wpływania na wydarzenia polityczne. Dokument programowy odwoływał się do „Testamentu Polski Walczącej” RJN, a w dosyć licznych gazetkach i ulotkach WiN nie omijano nadziei na zwycięstwo wyborcze PSL. Jakkolwiek działacze WiN należeli do wytrawnych konspiratorów, w ciągu nieco ponad dwóch lat aresztowano pięciu kolejnych prezesów. Sam twórca organizacji cieszył się piastowaniem tego stanowiska zaledwie dwa miesiące, a jego bezpośredni następcą został aresztowany parę godzin po wyborze na stanowisko. Po aresztowaniu w listopadzie 1947 r. kolejnego prezesa WiN, płk. Łukasza Ciepłińskiego „Bogdana”, UB udało się – m.in. dzięki pomocy renegatów z AK – przejąć kierownictwo organizacji (tzw. V Komenda WiN) i prowadzić przez kilka lat udaną grę wywiadowczą z Amerykanami (operacja „Cezary”). Ubocy byli wszak specjalistami nie tylko od mokrej roboty.

Oprócz struktur ogólnopolskich zorganizowało się kilka środowisk regionalnych, m.in. Konspiracyjne Wojsko Polskie (KWP) kpt. Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca”, który dystansował się od DSZ, a potem od WiN. KWP działało w województwie łódzkim i na sąsiednich terenach. „Warszyca” aresztowano pod koniec czerwca 1946 r., co bardzo osłabiło organizację. Podobnie poakowską formacją była Wielkopolska Samodzielna Grupa Ochotnicza „Warta” (WSGO), założona przez ostatniego dowódcę okręgu AK, ppłk. Andrzeja Rzewuskiego „Hańczę”. Utrzymywał on bezpośredni kontakt z DSZ, a także z Londynem i na jego polecenie rozwiązał organizację w październiku 1945 r. Obie te organizacje sformowały oddziały partyzanckie. Na Podlasiu, Pomorzu i Warmii pojawiły się niezależne jednostki z Wileńszczyzny – III Brygada NZW kpt. Romualda Rajsa „Burego” i V Brygada AK mjr.

Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Istniało też trochę lokalnych oddziałów, m.in. awanturnicznych watażków Antoniego Żubryda „Zucha” na Podkarpaciu czy – najbardziej znana – Józefa Kurasia „Ognia” na Podhalu. Funkcjonowały również tzw. grupy luźne, niektóre działały na granicy bandytyzmu. Były też grupy bandyckie, które podszywały się pod partyzantów i grabież nazywały „ekspropriacją”.

Od lata 1945 r. trwała swoista rywalizacja między SN/NZW a AK/WiN, przy czym z wyjątkiem lokalnych incydentów nie przekształciła się w otwarty konflikt. Partie i dowództwa wojskowe żyły w separacji wynikającej nie tyle z zasad konspiracji, ile z różnic ideowych i niezmiernie rzadko podejmowały współpracę. Jedynym przykładem szerszej kooperacji o charakterze politycznym było powołanie wiosną 1946 r. – z inicjatywy Włodzimierza Marszewskiego z SN i piśmudczyka Wacława Lipińskiego – Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Demokratycznych Polski Podziemnej. Nie przystąpiła do niego tylko oenerowska Organizacja Polska. Komitet stawiał sobie za cel odwoływanie się do opinii światowej przez informowanie o sytuacji w Polsce (w kontekście polityki sowieckiej oraz łamania zasad demokracji i terroru). Obszerny memoriał został jeszcze w 1946 r. przekazany do Rady Bezpieczeństwa ONZ, Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze oraz ambasad anglosaskich w Warszawie. Nie uzyskano odpowiedzi, a jedyną reakcją stało się aresztowanie na początku stycznia 1947 r. jego autorów.

Fenomenem typowym dla konspiracji były gazetki i druki zwarte. Jak ustalił Władysław Chojnacki, w latach 1945–1947 tych pierwszych ukazywało się około 400, a drugich wydano około 160. Gazetki miały niski nakład, a ich obieg – jak zwykle z prasą tajną – ograniczał się do środowisk konspiracyjnych i oddziałów partyzanckich wraz z ich otoczeniem. Najwięcej gazetek wydawały środowiska AK/WiN (118) oraz narodowe (84). Załamanie tego „rynku wydawniczego” nastąpiło w 1947 r., kiedy ukazały się tylko 22 tytuły, a w 1946 r. było jeszcze 99.

Partyzantka, czyli „żołnierze wyklęci”

W dzisiejszym odbiorze społecznym konspiracja niepodległościowa jest tożsama z aktywnością zbrojną. Działacze nielegalnych partii, wydawcy gazetek, wywiadowcy czy organizatorzy sabotażu, których też skazywano na karę śmierci, nie wzbudzają takiego zainteresowania jak nawet marginalne oddziały „żołnierzy wyklętych” czy postać Józefa Franczaka „Lalka”, ukrywającego się do 1963 r. (rekord świata i tak pobił por. Hirō Onoda, ukrywający się do 1974 r.).

Zresztą także wtedy kiedy to wszystko się działo, zapewne częściej rozmawiano (a raczej szep-tano) o „chłopcach z lasu” niż o politykach. Jest to naturalne, gdyż ciekawsze niż deliberacje nad losem kraju są przecież emocje, te zaś budzą walka, cierpienie i śmierć. Ówczesna potoczna wiedza o konspiracji była dosyć powszechna, ale ogólnikowa i zarazem wyrywkowa, niezależnie od tego czy pochodziła od świadków, czy z informacji medialnych i propagandy. Gazetki podziemne miały bardzo mały zasięg i charakter raczej propagandowo-ideowy niż informa-cyjny. Prasa ukazująca się legalnie była zarazem drastycznie skrępowana cenzurą, jak i – poza pismami PSL i katolickimi – prezentowała poglądy wrogie „reakcyjnym bandom”.

Od połowy stycznia 1945 r. zaczęły odpływać w stronę Niemiec wojska frontowe Armii Czerwonej, ciągnęło też za nimi Wojsko Polskie. Gdy zbliżała się wiosna, a lasy się zieleniły, zapelniali je żołnierze z rozwiązanej dopiero co AK, z NSZ czy z reorganizującego się NZW. O tym, że „lasy ożyły”, świadczyły m.in. ataki na więzienia i uwalnianie zamkniętych w nich kolegów: 9 marca w Białej Podlaskiej, 24 kwietnia w Puławach, 6 maja w Kozienicach, 9 maja w Grajewie i Białymstoku, 21 maja w Łomży. W nocy z 20 na 21 maja brawurowy atak na obóz NKWD w Rembertowie przeprowadziły skoncentrowane jednostki AK Obwodu Mińsk Mazowiecki, dzięki czemu uwolniły kilkaset osób. Można powiedzieć, że wiosenne wznowienie aktywności partyzanckiej odbyło się „z przytupem”.

Nie ma tu miejsca na wywód narracyjny, toteż wykład będzie ograniczony do wskazania podstawowych tylko elementów i najważniejszych informacji ilościowych.

1. Liczebność

Z zestawień Sławomira Poleszaka i Rafała Wnuka w *Atlasie polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956* wynika, że na terenie Polski lubelskiej w drugiej połowie 1944 r. działało 28 oddziałów – niemal wyłącznie AK – liczących blisko 3 tys. ludzi. W ciągu 1945 r. na terenie już całego kraju było 341 oddziałów i blisko 20 tys. żołnierzy. Od stycznia 1946 do zakończenia akcji amnestyjnej w kwietniu 1947 r. istniało 261 oddziałów liczących blisko 10 tys. żołnierzy. W końcu 1947 r. było ich natomiast niewiele ponad 50 z niespełna 3 tys. żołnierzy, a w latach następnych partyzantka szybko topniała. Według szacunków w latach 1944–1947 przewinęło się przez nią – biorąc pod uwagę opuszczanie jednostek (np. przez rannych i rotacje) oraz aresztowanych i zabitych na polu walki – być może 25 tys. osób. Każdy oddział miał własne zaplecze logistyczne („siatki cywilne”) w pobliskich wioskach i miasteczkach, można zatem sądzić, że we wspomaganie „chłopców z lasu” bezpośrednio zaangażowanych mogło być kilkadziesiąt tysięcy osób.

Nie ustalono jak dotąd rozmiarów miejskich części formacji zbrojnych, a takie struktury jak NZW czy AK/WiN dysponowały kierownictwem centralnym, komendami obszarów, okręgów i obwodów, ich ochroną, łącznością, siecią kurierską, jednostkami dyspozycyjnymi, dywersyjnymi czy egzekucyjnymi, magazynami, placówkami wywiadu, komórkami legalizacji, drukarniami, „melinami” etc. Być może ta część konspiracji i jej zaplecze były liczniejsze niż oddziały leśne. Można zatem zaryzykować hipotezę, że przez oddziały „w lesie” przeszło około 25 tys. ludzi, a w konspiracji wojskowej i politycznej bezpośrednio uczestniczyło 80–100 tys. osób.

2. Geografia i socjografia

Partyzantka najliczniejsza była w województwach wschodnich: na Podkarpaciu, Lubelszczyźnie i Podlasiu, znacząca liczebnie w Krakowskim, Kieleckim i na północnym Mazowszu, mniej liczna na Śląsku, w Wielkopolsce i na Pomorzu Gdańskim. Praktycznie nie występowała na ziemiach poniemieckich, ukrywały się tam natomiast – niekiedy zbiorowo – osoby zagrożone lub szykujące się do ucieczki z kraju. Geografię aktywności podziemia zapewne dobrze oddają jego straty: wedle danych MBP aż 56 proc. poległych w latach 1945–1946 stanowili zabici w dwóch tylko województwach – rzeszowskim i lubelskim. Antropologię partyzantów przekonująco przedstawił Mariusz Mazur, ale jego wywód dotyczy „chłopców z lasu”, wśród których, co zrozumiałe, dominowali młodzi mieszkańcy wsi. Ruch partyzancki był bowiem ruchem wiejskim (chłopskim), ale w niczym nie przypominał ludowych rebelii znanych z historii. Przystąpienie doń było wprawdzie ochotnicze, był jednak organizacją wojskową, hierarchiczną, poddaną dyscyplinie, działającą na rozkaz, sądzącą (łącznie z rozstrzelaniem) za niesubordynację, często dowodzoną przez zawodowych oficerów. Walki rzeczywiście toczyły się głównie „na wsi” – na lokalnych drogach (zasadzki), w lasach, na łąkach i polach, „między chałupą a stodołą”. Całe wsie uznawane za „partyzanckie” bywały przedmiotem pacyfikacji (np. w Wąwolnicy w maju 1946 r. spalono około 400 zabudowań), a oblawy – także z udziałem jednostek wojskowych – urządzano na ogół w lasach. W miastach partyzanci pojawiali się, gdy wkraczali tam, aby zaatakować więzienie czy przeprowadzić „demonstrację siły”. Na terenie większych miast rozgrywały się zamachy czy akty sabotażu, ale starć ulicznych nie było.

Mimo dyscypliny wojskowej występowały nie tylko indywidualne ekscesy (również między partyzantami), niektóre oddziały dopuszczały się przestępstw wobec ludności (m.in. zaboru mienia). Nawet NZW czy WiN nie gwarantowały swoim oddziałom wystarczających subwencji, zalecając samodzielne pozyskiwanie środków, co w rzeczywistości oznaczało rekwizycje czy ekspropriacje. Wypełniając rozkazy, dokonywano niekiedy krwawych

pacyfikacji, przede wszystkim w ramach konfliktu polsko-ukraińskiego, który zaostrzył się po napływie uchodźców z Wołynia i Małopolski Wschodniej i trwał aż do masowego przesiedlenia Ukraińców „za Bug”. W 1946 r. zaistniał w Hrubieszowie izolowany przypadek współpracy AK i UPA. Bez wołyńskiego kontekstu partyzanci NZW dokonali pacyfikacji kilku wsi białoruskich na Podlasiu, a w wielu miejscach doszło do grupowych zabójstw Żydów (w tym dzieci z żydowskiego sierocińca). Zdarzało się rozstrzeliwanie jeńców, z którymi partyzantka zawsze ma kłopot. Niestety stara to prawda: mundur może okrywać także złoczyńcę.

3. Akty wrogiej działalności

Tak w MBP określano różnego rodzaju działania partyzantów i konspiratorów. Dzięki kultywowaniu przez „bezpiekę” swojej historii dysponujemy informacjami statystycznymi gromadzonymi z okazji kolejnych jubileuszy. Można je uznać za wiarygodne, choć oczywiście istniała szara strefa, a niektórzy autorzy pierwiastkowych sprawozdań po prostu kantowali zwierzchników. Dla lat, które nas tu interesują, zarejestrowano:

Ogólnie „aktów wrogiej działalności” w 1944 r. – 1135, w 1945 – 19 041, w 1946 – 19 730, w 1947 – 6661 (razem 56 577).

W latach 1945–1947 dokonano napadów na: urzędy – 5505, koleje i mosty – 991, linie telefoniczne i telegraficzne – 390, inne obiekty – 3132; a także napadów na: funkcjonariuszy UB – 836, funkcjonariuszy MO – 964, żołnierzy WP – 771, żołnierzy Armii Czerwonej – 487. Najliczniejsze w zestawieniu „inne obiekty” to zapewne sklepy, kioski, restauracje, magazyny, składnice, a najczęściej po prostu prywatne domy i mieszkania.

W latach tych w wyniku „wrogiej działalności” zostało zabitych: funkcjonariuszy UB i MO oraz żołnierzy WP i ACz – 6372, działaczy (PPR, ZWM, przedstawicieli władz lokalnych etc.) – 1819 oraz cywilów – 7605. Nie jest jasne, kogo dotyczyła ta ostatnia kategoria, stanowiąca blisko połowę całości. Zapewne obejmowała ofiary wśród mniejszości narodowych, ludzi skazanych na śmierć jako konfidenti czy członkowie band rabunkowych, osoby zabite w trakcie ekspropriacji (właściciele mienia, sprzedawców, strażników, stróżów czy przypadkowych świadków).

Jakkolwiek trudno ocenić, to biorąc pod uwagę, że z bronią w ręku w podziemiu i partyzantce walczyła tylko część ich członków, liczbę „wrogich aktów” ujętych powyższymi statystykami – a przede wszystkim liczbę zabitych tak czy inaczej rozumianych przeciwników: funkcjonariuszy, żołnierzy i działaczy – należy uznać za wysoką.

4. Straty własne

Według szacunków Mariusza Mazura w latach 1945–1948 zginęło w walce 7,5–8,5 tys. partyzantów („leśnych”). Wynika z tego, że straty bezpowrotne wynosiłyby aż 40 proc. ogólnych stanów oddziałów partyzanckich, które w szczytowym okresie, w 1945 r., szacuje się na niespełna 20 tys. Wydaje się, że wielkość ta jest przeszacowana, gdyż oznaczałaby po prostu generalną hekatombę „żołnierzy wyklętych”. MSW w opracowaniu z 1979 r. podawało, że „w walce z władzą ludową” w latach 1944–1957 zginęło 5888 „bandytów i członków nielegalnych organizacji”. W informacji tej „bandyci” to po prostu partyzanci, jako że kryminaliści raczej nie ginęli „w walce z władzą” (choć mogli ginąć w starciu z milicjantami). Między szacunkami Mazura a danymi MSW istnieje wyraźna, ale nie zasadnicza różnica. Uderza natomiast występująca w statystykach MSW zbieżność danych o liczbach zabitych „wrogów władzy ludowej” (5888) i jej obrońców, którzy padli ofiarą tychże wrogów (6372). Jeśli takie proporcje rzeczywiście występowały, to trzeba by powiedzieć: wet za wet.

Do „strat bezpowrotnych” partyzantki i konspiracji należy dodać zmarłych w wyniku tortur w śledztwie lub w więzieniach (wedle Mazura 2–4 tys.), liczbę wykonanych wyroków śmierci (zapewne parę tysięcy). Ponadto niektórzy więźniowie i więźniarki wprawdzie przeżyli, a więc nie stanowili „strat bezzwrotnych”, była to wszakże najliczniejsza grupa represjonowanych. Tylko w latach 1944–1947 za takie delikty antypaństwowe, jak szpiegostwo (np. „na rzecz Andersa”), przynależność do nielegalnych organizacji, współpraca z nimi, „terroryzm i bandytyzm polityczny” oraz wroga propaganda, aresztowano łącznie blisko 60 tys. osób (nie licząc aresztowanych za „nielegalne posiadanie broni”). Najwięcej w 1946 r. – około 24 tys. W okresie tym ponad połowę całej więziennej populacji stanowili tak czy inaczej definiowani więźniowie polityczni.

Sumując: konspiracja i walka zbrojna przeciwko wasalizacji i komunizacji Polski trwające od 1944 r. osiągnęły apogeum w latach 1945–1946. Zorganizowany opór został jednak zdławiony, a od 1948 r. dalsza jego aktywność miała w zasadzie charakter samoobronny i lokalny. Trudno uznać je za ogólnonarodowe powstanie, gdyż inaczej niż w tradycyjnym dla Polski znaczeniu tego terminu przeciwnikiem byli nie obcy (choć oni także), ale głównie pobratymcy (np. z KBW czy MO). Natomiast z pewnością należy je wpisać w zróżnicowany korpus polskich walk niepodległościowych. W każdym razie tamte ofiary, poświęcenie i wysiłek stały się załącznikiem, który wraz z pojęciem „żołnierze wyklęci” powstał dopiero w III RP. Jest on zarówno częścią popkultury, jak i dyskursu politycznego, a jego zasięg umacnia to, że jest on bardzo polski: zarazem heroiczny i martyrologiczny. W znacznym stopniu uzupełnia (lub czasami

wręcz zastępuje) zrodzony na kanwie wojny i okupacji niemieckiej mit powstania warszawskiego i AK.

Referendum „ludowe”, czyli sfalszowane zwycięstwo

Wprawdzie postanowienia wielkich mocarstw nie określały terminu przeprowadzenia wyborów parlamentarnych, ale stwierdzenie z Jałty, że winny się one odbyć „tak szybko, jak to możliwe”, mimo wszystko obligowało. Jesienią 1945 r. w ramach koalicji TRJN podjęto sprawę wyborów, nie interesowano się jednak możliwościami technicznymi ich zorganizowania, choć z uwagi na natężenie ruchów wysiedleńczych i migracji wewnętrznych o wielomilionowej skali był to problem skomplikowany. Przedmiotem debat i polemik stały się aspekty polityczne. Gomułka, polityk bezwzględny, nawet brutalny, ale potrafiący realistycznie ocenić sytuację, przypominał kolegom o „węgierskim błędzie”, tj. przeprowadzeniu wyborów na osobne listy partyjne, i ostrzegał, że w takich warunkach Mikołajczyk miałby „poważne szanse na zwycięstwo”. Uważał więc, że należy utworzyć wspólną listę całej koalicji z TRJN jako „bloku demokratycznego”. Lider PSL też pobrał lekcję z wyborów u „bratanków”, ale uznał je za przykład pozytywny i liczył na powtórzenie sukcesu węgierskich ludowców, którzy zdobyli 57 proc. głosów wobec 17 proc. komunistów. Chcąc storpedować pomysł wspólnej listy, zażądał przyznania na niej aż 75 proc. miejsc „przedstawicielom wsi”, co nadawało się tylko do odrzucenia. Na jednym ze spotkań międzypartyjnych poświęconych wyborom przypomniał ówczesne plebiscyty (referenda) ustrojowe we Francji (w sprawie nowej konstytucji) oraz we Włoszech (o likwidacji monarchii). Wicepremier błysnął erudycją, natomiast przeciwnicy podchwycili jego słowa, uznawszy, że ogłoszenie referendum będzie dobrym pretekstem do odłożenia wyborów i pozwoli zyskać na czasie.

Uzgodniono treść trzech pytań referendalnych i ustalono termin głosowania na 30 czerwca 1946 r. Pytania były tak skonstruowane, aby zachęcać do odpowiedzi „trzy razy tak” – prostej, a więc łatwej – za którą opowiadał się blok peperowski. Pytanie nr 3 dotyczyło akceptacji granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, co wydawało się bezdyskusyjne, choć prowokowało pytanie o granicę wschodnią. W pytaniu nr 2 chodziło o zgodę na wpisanie do przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego opartego na reformie rolnej i „unarodowieniu podstawowych gałęzi gospodarki”. Zmiany te były już jednak wprowadzone ustawami KRN z września 1944 i stycznia 1946 r. Oba podejmowały rzeczywiście ważne kwestie, tyle że *de facto* już rozstrzygnięte. Natomiast pytanie nr 1, „czy jesteś za zniesieniem senatu”, poruszało sprawę w istocie marginalną, choć odnosiło się do demokratycznej konstytucji z 1921 r., która przewidywała istnienie wyższej izby parlamentu. To właśnie ono okazało się kluczowe, gdyż

opowiedzenie się za utrzymaniem senatu (czyli głos „nie”) pozwalało na odróżnienie się od Bloku bez zakwestionowania przy tym ani zachodniej granicy, ani reformy rolnej. Mimo oporu ugodowo nastawionych działaczy PSL, a nawet utworzenia secesyjnej partyjki (PSL Nowe Wyzwolenie), stanowisko Mikołajczyka zdecydowanie przeważało.

Obaj liderzy, bliscy sobie generacyjnie i pochodzeniem społecznym, ale skrajnie różni pod względem doświadczenia życiowego i politycznego, uważali, że frontalne starcie jest nieuniknione. Szef PPR mówił, że partii potrzebna jest konfrontacja: „zdobyliśmy władzę zbyt lekko [...], ma to pewne ujemne znaczenie, że [bo] ludzie zwykle słabo doceniają to, co przyszło łatwo”. Mikołajczyk zaś przekonywał swoich: „tyle będziemy mieli wolności, ile [...] potrafimy sobie wywalczyć”. Opinia publiczna okazała się zróżnicowana. Blok Demokratyczny opowiedział się za głosowaniem trzy razy „tak”, PSL – raz „nie” i dwa razy „tak”, WiN – dwa razy „nie” i raz „tak” (na pytanie o granice), większość konspiracji narodowej opowiadała się za „trzy razy nie” lub bojkotem głosowania, Stronnictwo Pracy dawało sympatykom wolną rękę, a episkopat półoficjalnie wskazywał odpowiedź „tak” na pytanie o granice. Niezależnie od niuansów ogólny podział był klarowny: zwolennicy „trzy razy tak” kontra reszta. Walka, o której mówili obaj liderzy, zaczynała się jako wstępna próba sił przed ostatecznym starciem, czyli walką – mówiąc wprost – o to, kto będzie liczył głosy.

Zdominowany przez PPR Blok Demokratyczny miał w rękach praktycznie cały aparat państwowy, miażdżącą przewagę w środkach informacji (PPR i PPS dysponowały 30 dziennikami, a PSL tylko jednym) i urząd cenzury. Sojusznicy byli ulegli, jedynie w PPS pojawiały się ambicje emancypacyjne, wszyscy chyba po prostu bali się komunistów, którzy mieli monopol w instytucjach przemocy i represji (MON, MBP, zmilitaryzowane sądy). Co nader ważne, PPR miała wyłączność na relacje z Moskwą, gwarantką *status quo*, obecną w Polsce militarnie. Występując jako swego rodzaju plenipotencyjny zarządca kraju i jego instytucji, rozdawca posad, orderów i mieszkań, PPR niewątpliwie cechował, tak dzisiaj ceniony, „walor sprawczości”, co w chaosie „wielkiej trwogi” mogło być przez wielu traktowane jako pożądany czynnik porządkujący.

A jednak Gomułka miał podstawy, aby niepokoić się, choćby liczebnością PSL i obecnością jego komórek w prawie całym kraju czy często powtarzającymi się przypadkami publicznego aplauzu dla Mikołajczyka – pod katowicką katedrą tłum krzyczał do lidera PSL: „Ratuj Polskę!”. Na jego cześć wznoszono okrzyki w tak nieoczekiwanym miejscu jak warszawski stadion (na przerwie w meczu Legii z belgradzkim Partizanem). Niepokojące dla PPR mogły być niektóre zbiorowe zachowania młodzieży: w Łodzi udział kilku tysięcy studentów w

pogrzebie koleżanki, zamordowanej przez czerwoarmistę, zakończył się zamieszkami i aresztowaniami, a w Szczecinie podczas oficjalnych uroczystości z okazji rocznicy wyzwolenia (tzn. zdobycia) miasta harcerze wygwizdali Bieruta. Największy zasięg przybrały manifestacje studentów i licealistów rozpoczęte w Krakowie po mszy w kościele Mariackim z okazji rocznicy Konstytucji 3 maja. W reakcji na rozbicie manifestacji (i pogłoski o ofiarach śmiertelnych) solidarnościowe manifestacje odbyły się w kilkunastu miastach w całej Polsce i powtarzały przez trzy tygodnie. Byli aresztowani i skazani.

Ze zrozumiałych względów szczególne zaniepokojenie kierownictwa PPR budziły strajki robotników, dobrze znane komunistom z nieodległych czasów sanacyjnej Polski. Pierwsze wybuchły w kwietniu 1945 r., gdy bronił się jeszcze Berlin, ale maksimum osiągnęły właśnie w maju 1946 r. w miesiącu poprzedzającym referendum. Było ich wówczas około stu w kilkunastu miastach. W odróżnieniu od protestów młodzieży, które miały akcenty polityczne, u podłoża większości strajków leżały przyczyny bytowe (niskie płace, braki w aprowizacji). Komuniści traktowali je jednak jako działania wrogie i grozili „przetarciem rąk” tym, którzy „stali za” robotnikami. Trudno powiedzieć, czy wszystkie te wydarzenia miały związek z narastaniem emocji przed zbliżającym się plebiscytem, ale gdy on się odbywał, ich reminiscencje zapewne oddziaływały. Do niepokojów społecznych i zbiorowych wyrazów sprzeciwu należy dodać aktywność oddziałów partyzanckich osiągającą właśnie apogeum i w wielu regionach („ściana wschodnia”) paraliżującą okresowo lokalną administrację i komórki PPR. Dzień w dzień po obu stronach padały ofiary śmiertelne, tu zawalił się most, tam wybuchł transformator. Często płonęły zabudowania. W takich warunkach rozmiary poparcia dla obozu rządzącego były niemożliwe do oszacowania, ale na pewno nie było gwarancji sukcesu opcji „trzy razy tak”. Referendum miało być pierwszym sprawdzianem rozkładu sił w opinii publicznej.

Dotychczasowa strategia PPR nie wymagała zasadniczych zmian. Raczej chodziło o „jeszcze więcej” tego samego: represji i propagandy. Innowacjami były m.in. utworzenie w lutym 1946 r. Ochotniczej Rezerwy MO (ORMO), która w rzeczywistości była bojówką PPR, a przede wszystkim powołanie Państwowej Komisji Bezpieczeństwa (PKB) z ministrem obrony narodowej na czele. Jej zadaniem było koordynowanie działalności MBP i wojska, które na ponad rok zaangażowano bezpośrednio do operacji antypartyzanckich. Od zimy 1946 r. zamiast tylko reagować na poczynania „leśnych”, próbowano non stop podążać za nimi i prowadzić coś w rodzaju obław prewencyjnych. W operacjach tych uczestniczyły jednostki z kilku dywizji

piechoty, a niekiedy wciąż obecne w Polsce Wojska Wewnętrzne NKWD. Wojsko brało też udział w akcjach propagandowych.

Oprócz partyzantki drugim głównym obiektem „wojny o referendum” było PSL, wobec którego stosowano zróżnicowany repertuar chwytów: poczynając od rewizji w warszawskiej siedzibie władz centralnych stronnictwa (którego lider był wszak urzędującym ministrem i wicepremierem), przez seryjne odmowy zgody na organizację uroczystości święta ludowego i zawieszanie zarządów powiatowych pod zarzutem „kontaktów z bandami”, aż po co najmniej kilkanaście zabójstw lokalnych działaczy stronnictwa. Były też pozorne drobiazgi: wśród przewodniczących komisji obwodowych peperowców było dziesięć razy więcej niż peeselowców, wymyślono również przepis, że czystą kartę do głosowania uznaje się za głos „trzy razy tak”. Dopuszczano się kradzieży tradycji: podczas obchodów święta ludowego organizowanych przez „lubelskie” SL głównym mówcą okazał się... Gomułka, a na pogrzebie Macieja Rataja, jednego z przywódców ruchu ludowego, to Bierut wywodził, że „osiągnęliśmy już Polskę, o którą walczył Rataj”.

Pod względem nasycenia przestrzeni publicznej aktywność propagandowa Bloku była czymś niezwykle, przynajmniej jak na ówczesne polskie warunki. Wydrukowano 15 mln ulotek, kilkanaście plakatów w nakładach 70–150 tys. egzemplarzy, którymi oklejano mury i płoty. Odwoływały się m.in. do reminiscencji wojennych (niemiecki żołnierz wspierający głosujących „nie”), operowały prostym kontrastem: prężnemu robotnikowi niosącemu transparent z „tak” przeciwstawiano cherlawego typka z karabinem i opaską „NSZ”. Partyjni aktywiści, zetwuemowcy i ormowcy malowali stosowne hasła, gdzie się dało, na bramach fabryk wieszano transparenty, dekorowano fasady gmachów urzędowych. Partie Bloku organizowały tysiące wieców. W tych warunkach propaganda PSL i ugrupowań konspiracyjnych jakby nie istniała i siłą rzeczy miała głównie charakter destrukcyjny – zrywanie plakatów, zamazywanie napisów czy wymazywanie litery „T” ze słówka „tak”. Rozmach własnej propagandy z pewnością podnosił na duchu głównych autorów tej kampanii, ale nie do tego stopnia, aby wyzbyli się niepokoju. Jednoznacznie świadczy o tym fakt, że 20 czerwca zjawiała się w Warszawie zaproszona *ad hoc* kilkunastoosobowa grupa sowieckich speców od produkcji fałszywych dokumentów, a ich szef spotkał się z Gomułką i Bierutem. Może dopiero wtedy odetchnęli oni z ulgą.

Wbrew obawom jednych i groźbom innych samo głosowanie w około 11 tys. komisji przebiegło bez większych ekscesów. Lokale, wyposażone w przestrzeń oddzielone kotarą, były pieczołowicie pilnowane przez wojsko, a w środku znajdowali się milicjanci, ubecy i

ormowcy. Wielu członków komisji z partii Bloku zachęcało, by wrzucać do urny czystą kartę. Po zakończeniu głosowania i spisaniu protokołu dokumentacja była zabierana przez ubeków i konwojem odwożona do starostwa lub wprost do PUBP. Zdarzało się, że nie czekano na protokół i zabierano po prostu urnę. Takie i inne alarmujące wiadomości sływały do centrali PSL razem z informacjami o dosyć powszechnym głosowaniu „nie” na pierwsze pytanie. W ciągu kilku dni kierownictwo stronnictwa nabrało pewności, że są zwycięzcami, co umacniał „przeciek” w krakowskim piśmie PPS, że głosów „nie” na pierwszy pytanie było tam 84 proc., na drugie 67 proc., na trzecie 31 proc. Potem znów zapadła cisza, cenzura konfiskowała w prasie PSL wszystkie częściowe wyniki, a gdy na jednym z posiedzeń rządu Mikołajczyk zaczął mówić o nadużyciach, Gomułka rzucił: „leć pan na skargę do Churchilla”. Kilka dni po referendum, 4 lipca, doszło do niemal całodniowego pogromu Żydów w Kielcach, w którym zabito około 40 osób. Z pewnością przekierowało to nieco emocje, a na Zachodzie stało się tematem ważniejszym niż głosowanie, zwłaszcza że wciąż znano o nim niewiele szczegółów.

Wreszcie 12 lipca Wacław Barcikowski, przed wojną lewicowy adwokat, aktualnie I prezes Sądu Najwyższego i z urzędu generalny komisarz Głosowania Ludowego, ogłosił oficjalnie wyniki; wedle nich przy ogólnej frekwencji około 90 proc. głosy „nie” stanowiły w skali kraju 32 proc. na pierwsze pytanie, 23 proc. na drugie i 9 proc. na trzecie. Oznaczało to zdecydowane zwycięstwo Bloku, PPR i osobiście Gomułka, niepowodzenie Mikołajczyka i całkowitą klęskę konspiracji. Mikołajczyk natychmiast zwołał konferencję prasową z udziałem zagranicznych dziennikarzy, by przedstawić informacje o nadużyciach oraz liczne, ale wrywkowe, dane zgromadzone przez przedstawicieli PSL. Stronnictwo złożyło oficjalne protesty odnośnie do wszystkich okręgów (województw) oraz jeden ogólnopolski, które zostały oczywiście odrzucone. W prasie obowiązywał zakaz publikowania danych częściowych. Anglosasi siłą rzeczy ograniczyli się do werbalnego protestu, prasa zachodnia była wstrzemięzliwa, a z braku szczegółowych danych nie drążyła tematu, koncentrując się na pogromie kieleckim. Zapewne duża, choć nie wiadomo jak wielka, część Polaków miała świadomość, że zostało dokonane fałszerstwo, o czym świadczyła choćby zwłoka w ogłoszeniu wyników. Rzeczywiście praca nad 11 tysiącami protokołów wymagała od sowieckich ekspertów i ich polskich „pomagierów” sporo czasu.

Na poznanie prawdziwych wyników trzeba było czekać 45 lat, kiedy po samorozwiązaniu PZPR okazało się, że zachowały się odręczne zapiski Bieruta i różne materiały informacyjne gromadzone na bieżąco w czasie referendum w jego kancelarii. Znajdowały się w archiwum KC, w zbiorze nazywanym „szafy Bieruta”. W 1991 r. zostały przekazane do Archiwum Akt

Nowych. Otóż wedle tych dokumentów głosy na „tak” stanowiły (w zaokrągleniu): na pierwsze pytanie – 27 proc., na drugie – 42 proc., na trzecie – 67 proc. Skala fałszerstwa była więc potężna. Upraszczając i przyjmując arbitralnie, że każdy głosujący „tak” na pierwsze pytanie odpowiadał „tak” na pozostałe oraz analogicznie każdy głosujący „nie” na trzecie pytanie odpowiadał „nie” na pierwsze i drugie, można by stwierdzić, że:

- zgodnie z wezwaniem PPR („trzy razy tak”) głosowało około 27 proc.,
- zgodnie z wezwaniem podziemia narodowego („trzy razy nie”) około 33 proc.,
- zgodnie z zaleceniami „raz nie” (PSL) lub „dwa razy nie” (WiN) około 40 proc.

Niezależnie od pewnych niedostatków można traktować to jako uogólniony zapis poglądów politycznych społeczeństwa, co pozwala, jak miemam, kilka parę wniosków i hipotez:

1. Za PPR, jej satelitami i różnego rodzaju ich przybudówkami opowiedziała się znacząca, ale zdecydowanie mniejszościowa (około 1/4) część Polaków. Można zatem domniemywać, że gdyby wówczas odbyły się wybory i PPR wystąpiła w nich w pojedynkę, poniosłaby porażkę tak jak węgierscy towarzysze.

2. Z istniejących sił politycznych największy autorytet (wpływy) miało PSL o czym świadczy wysokie (73 proc.) poparcie dla jego dosyć enigmatycznego hasła. Głosującym „nie” chodziło zapewne o poparcie Mikołajczyka, a nie o zachowanie senatu. Najwięcej głosów uzyskał – co nie dziwi – w Wielkopolsce, skąd lider PSL się wywodził i gdzie już przed wojną był znanym działaczem.

3. Głosowanie ponad połowy uczestników referendum przeciw reformie rolnej i upaństwowieniu przemysłu oraz aż 1/3 przeciwko granicy zachodniej można odczytywać jako radykalną kontestację przez poważną część Polaków systemu *in toto*. Łącznie z tzw. międzynarodowymi uwarunkowaniami i kompromisową postawą PSL.

4. Uderzająca była bardzo wysoka frekwencja, wynikająca chyba nie tylko z natarczywego napominania do udziału w głosowaniu, lecz także tego że pierwszy od dawna akt obywatelski został poważnie potraktowany.

5. Wyniki odczytywane geograficznie potwierdzają silny sprzeciw wobec PPR i tryumf PSL w Polsce południowej (Małopolska) i południowo-wschodniej (Podkarpacie), gdzie ponad 86 proc. głosowało „nie” na pierwsze pytanie.

6. Nie powinno budzić wątpliwości, że wyniki głosowania okazały się przydatne podczas planowania działań przedwyborczych zarówno propagandowych, jak i represyjnych, choć należy sądzić, iż szczegółowa wiedza o nich była dobrem rzadkim. Aż do upadku PRL wyniki referendum były objęte skutecznie przestrzeganą omertą, a w 1946 r. pełną wiedzę mieli stosunkowo nieliczni. Nawet nie wszyscy funkcjonariusze KC PPR czy oficerowie MBP. Nie było takich osób w PSL czy w konspiracji. Wiedzano o fałszowaniu, ale jego rzeczywista skala pozostawała tajna.

Tak czy inaczej w Polsce AD 1946 zaistniał gorzki – a właściwie dramatyczny – paradoks: ci, którzy w rzeczywistości wygrali, nie mogli ogłosić sukcesu, zwycięstwo świętowali zaś pokonani. Nauka z tego była prosta – kłamstwo popłaca, a życie toczy się dalej. Walka polityczna też.

Wybory

PSL złożyło formalne protesty, ale z powodu cenzorskiej blokady nie miało możliwości przedstawienia opinii publicznej szczegółów ani o manipulacjach zauważonych w komisjach, ani o zebranych danych ilościowych. Nie mówiąc o rzeczywistym wyniku całości referendum, którego po prostu nie znano. Zabrakło zbiorowego protestu na wsi, będącej główną podporą PSL (a także konspiracji niepodległościowej). Zapewne niejasność sytuacji wobec luki informacyjnej i bezceremonialna pewność siebie PPR powodowały, że pojawiała się poczucie bezradności. A przecież jeszcze nie tak dawno (w 1937 r.) miliony chłopów przez dziesięć dni trwało w politycznym strajku przeciwko rządowi piłsudczyków, którego stłumienie (z udziałem wojska) pochłonęło kilkadziesiąt ofiar. Pod nieobecność Witosa kierował nim... Mikołajczyk. Jednak w 1946 r. nie odwołano się do tamtego doświadczenia, zapewne nawet dla radykałów byłby to krok zbyt ryzykowny. Wroga lub niechętna komunistom część opinii publicznej była zdezorientowana i w efekcie żadne środowisko nie wyraziło publicznie zastrzeżeń wobec ogłoszonych wyników. Nie wyszli na ulice nawet zwykłe wybuchowi studenci. Zapewne jedni pojechali na wakacje, a inni do rodziców, by pomóc im w żniwach. Ruszyli się tylko łódzcy robotnicy, których kilkanaście tysięcy zastrajkowało w połowie lipca. Protestowali jednak nie przeciwko fałszerstwu, o którym przecież niewiele wiedzieli lub nie wiedzieli zgoła nic, ale w związku z drakońskimi wyrokami na uczestników pogromu w Kielcach. W dniu, w którym ogłoszono wyniki referendum, zostało wykonanych dziewięć wyroków śmierci wydanych dzień wcześniej w trybie doraźnym. Zbieżność czasowa pogromu z „liczeniem” głosów może nasuwać podejrzenie, że nie był to przypadek. Niemniej mimo wielokrotnych badań

archiwalnych nie znaleziono do tej pory dowodów, iż pogrom z 4 lipca był prowokacją mającą przykryć fałszerstwo.

We władzach PSL ponowiły się rozdziewki. Na posiedzeniach Rady Naczelnej zwolennicy kompromisu i udziału w wyborach na wspólnej liście (co proponowały PPR i PPS), choć nieco liczniejsi niż poprzednio, nie zdołali zdobyć przewagi. Większość przekonało stanowisko Mikołajczyka („musimy się nie dać”) o osobnej liście. Rezygnując ze zbiorowego protestu, PSL nie było w stanie odwołać się do opinii publicznej. Powiadomianie Wielkiej Trójki o nadużyciach i represjach wywołało jedynie noty Anglosasów do polskiego MSZ. Nie było powodów, aby „leśni” wystąpili w związku referendum, które większość bojkutowała, a wnosząc z ich pasywności w czasie głosowania, wątpliwe nawet było, żeby mogli zakłócić wybory.

Inicjatywa należała do komunistów. Blok Demokratyczny po wygaszeniu – przy osobistej moderacji Stalina – niesnasek między PPR a PPS w sposób zdyscyplinowany przystąpił do przygotowania wyborów. Uzgodniono podział miejsc na wspólnej liście, a PPR i PPS ustaliły między sobą, że PSL może dostać najwyżej 10 proc. głosów (lub 15 proc. mandatów). *Eo ipso* była to decyzja o sfalszowaniu wyborów. Obóz rządzący był w dogodniejszym położeniu niż przed referendum, gdyż PPR miała już wiedzę o rozkładzie sił w społeczeństwie i jego geografii. Było też nieco więcej czasu. Pół roku dzielące wybory od referendum zostało efektywnie wykorzystane do stworzenia „oprawy propagandowej”, w czym dużą rolę odgrywało wojsko, mające zasoby techniczne (drukarnie, transport) i setki przeszkolonych agitatorów. Tym razem przykładano wagę do propagandy osobistej prowadzonej przez członków partii, a nawet ZWM (choć głosowano od 21. roku życia). Agitowano wśród rodziny, sąsiadów, znajomych z pracy, zachęcano do głosowania na listę Bloku, a także do czynienia tego demonstracyjnie. Grupki agitatorów („trójki”) chodziły od domu do domu, od mieszkania do mieszkania. Nie zaniedbano takiego technicznego szczegółu jak zapewnienie liście Bloku jednakowego numeru („3”) w całym kraju, co umożliwiała drukowanie takich samych plakatów i kartek do głosowania dla wszystkich okręgów i ułatwiała propagandę, jako że głosowało się tylko na numer listy.

Wykorzystując przewagę w KRN i radach narodowych, dyspozycyjność administracji i aparatu bezpieczeństwa, do ordynacji wyborczej i związanych z nią przepisów wprowadzono różne rozwiązania pozwalające na manipulacje. Między innymi zróżnicowano wielkość okręgów wyborczych: tam gdzie referendum wykazało większe poparcie dla „trzy razy tak” na jeden mandat, wystarczyło 35 tys. wyborców, a tam gdzie Blok poniósł klęskę, potrzeba było dwa

razy więcej. Na mocy decyzji administracyjnych pozbawiono prawa głosu ponad 400 tys. osób, w tym wiele jako podejrzanych o „współpracę z [...] bandami dążącymi do obalenia demokratycznego ustroju Polski”. Skreślono 79 kandydatów PSL na posłów. Najpoważniejsze było unieważnienie list PSL w 10 okręgach wyborczych (na 52), zamieszkałych przez 22 proc. ludności Polski. Drastycznie ograniczono liczbę przedstawicieli PSL w komisjach – dopuszczono ich do 296 na 5,3 tys. obwodów. MBP podjęło bezprecedensowe działanie – jako tajnych współpracowników zwerbowano 23,3 tys. (47 proc.) członków komisji obwodowych oraz 162 (43 proc.) członków komisji okręgowych. Na masową skalę werbowano też osoby z wiejskiej administracji (np. około 6 tys. sołtysów). W każdym lokalu wyborczym znajdowali się funkcjonariusze UB i MO, a nawet żołnierze. Te specjalne przedsięwzięcia były tym istotniejsze, że mimo pojawienia się na zaproszenie Bieruta w stosownym momencie znanych sprzed pół roku fachowców z Moskwy fałszowanie przebiegało inaczej niż w referendum. Tym razem odbywało się od dołu, a podstawą proceduru były fachowo przygotowane instrukcje, za pomocą których obliczano w obwodach, ile głosów należy przyznać poszczególnym listom. Fałszowanie było utrudnione (lub niemożliwe) w nielicznych przypadkach obecności przedstawiciela PSL. Protokoły trafiały do komisji okręgowych, gdzie w razie potrzeby można było poddawać je dalszej obróbce.

Można by sądzić, że to wystarczy do ogłoszenia zaplanowanego wyniku wyborów. A jednak kierownictwo PPR uznało, że okres przedwyborczy i same wybory nie powinny spowalniać fizycznej walki z wrogami politycznymi, wręcz wymagają intensyfikacji. I tak rzeczywiście się stało. Głównym obiektem było – formalnie należące do koalicji rządowej – PSL. W siedzibach jego komórek i instancji przeprowadzono około 300 rewizji, w tym dwukrotnie w warszawskiej centrali. Konfiskowano dokumenty, blankiety, pieczętki i legitymacje członkowskie. Czasem też pieniądze z kasy. Na podstawie decyzji administracyjnych pod zarzutem „współpracy z bandami” zawieszono 59 zarządów powiatowych (na 299 powiatów). Aczkolwiek już wcześniej zdarzały się aresztowania, to w okresie formowania list i w ostatniej fazie kampanii wyborczej przybrały charakter wręcz masowy. Aresztowano m.in. 14 kandydatów z listy krajowej, 147 kandydatów z list okręgowych, 22 członków Rady Naczelnej i niemal wszystkich odrzuconych kandydatów na mężów zaufania. A także znanych działaczy – Kazimierza Bagińskiego, więźnia „brzeskiego” z 1930 r., w 1945 r. skazanego w Moskwie, Stanisława Mierzwę, również więźnia Łubianki, Zygmunta Augustyńskiego, redaktora „Gazety Ludowej”, i Karola Buczka, docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego i redaktora tygodnika „Piast”. W sumie aresztowano około 13,6 tys. działaczy stronnictwa, a w okresie bezpośrednio poprzedzającym

wybory prewencyjnie zatrzymano na kilka–kilkanaście dni około 100 tys. osób. W dziesiątki szły zabójstwa lokalnych aktywistów. „Wojnę” z PSL prowadziło też 2,5 tys. Grup Ochronno-Propagandowych organizowanych przez wojsko i KBW pod egidą Państwowej Komisji Bezpieczeństwa. Na okres kampanii miała ona do dyspozycji 110 tys. ludzi, w tym 62 tys. żołnierzy, blisko 10 tys. kabewiaków, 4,5 tys. ubeków, 17 tys. milicjantów i 16 tys. ormowców. Grupy te operowały głównie we wsiach i oprócz zadań agitacyjnych miały przez samą swoją obecność zastraszać ludność, a przynajmniej osoby niechętne władzy. Ważnym ich zadaniem było namawianie – niekiedy z użyciem gróźb – do występowania z PSL i rozwiązywania lokalnych organizacji. Jak wynika ze sprawozdań GOP, spowodowały rozwiązanie się blisko 3 tys. kół wiejskich, wielu zarządów gminnych, a nawet kilku powiatowych oraz wystąpienie z PSL około 140 tys. osób. Z uwagi na prawdopodobieństwo „sprawozdawczego samochwalstwa” trudno ocenić wiarygodność tej informacji, ale działania takie były z pewnością podejmowane na bardzo szeroką skalę.

Po przemówieniu sekretarza stanu Jamesa Byrnese (6 września 1946 r.), który przypomniał, że granica na Odrze i Nysie ma być przedmiotem traktatu pokojowego, PPR rozpoczęła kampanię nie tylko przeciwko „amerykańskim imperialistom”, lecz także ich „sługusom”. Bojówki ZWM splądrowały siedzibę władz PSL, niszczyły urządzenia i darły dokumenty. Gomułka cynicznie skomentował to, mówiąc, że „wybicie szyb, a nawet zdemolowanie lokalu, według naszych pojęć mieści się w ramach praworządności”. Chwaląc napastników, dodawał, że walki z PSL „nie można prowadzić tylko przy pomocy metod policyjnych”, potrzebna jest też mobilizacja zwolenników. Zaostrzając ton, stwierdził wprost: „nigdy nie powiedzieliśmy, że nie będzie trzeba zastosować środków masowego terroru przeciwko wrogowi klasowemu”. Kampania wyborcza w wydaniu obozu rządzącego była niewątpliwie tego potwierdzeniem. Bodaj jedyną publiczną odpowiedzią na taką formułę funkcjonowania państwa był list pasterski „w sprawie wyborów” Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski. Stwierdzono w nim otwartym tekstem, że chrześcijanin winien głosować przeciwko tym, „których programy lub metody rządzenia są wrogie zdrowemu rozsądkowi, dobru państwa i narodu, moralności chrześcijańskiej”.

Od końca listopada PSL przeszło do działalności na wpuł konspiracyjnej, zalecano m.in. niewydawanie osobom niepewnym legitymacji partyjnych, przekazywanie informacji i dokumentów tylko przez posłańców, „zamelinowanie” archiwów i spisów członków, tworzenie tajnego „drugiego szeregu” władz lokalnych, a także „ukrywanie sztandarów”. Nie ogłoszono bojkotu wyborów, ale objęto nim okręgi, w których listy PSL zostały unieważnione. Siłą rzeczy nie organizowano wieców i agitacja przybrała charakter „szeptanki”, choć parę pism jednak się

ukazywało, na początku grudnia zdołano wydrukować „Odezwę wyborczą PSL”, a na dzień wyborów ulotki zawierające wykazy kandydatów. Dwa razy (13 i 15 stycznia 1947 r.) Mikołajczyk wygłosił krótkie (ocenzurowane) przemówienia radiowe, ale w wielu miejscowościach wyłączano w tym czasie lokalne radiowęzły. Niemniej w Lublinie doszło przy tej okazji do demonstracji młodzieży na rzecz lidera PSL i dwudniowych zamieszek. Nie tylko PSL było propagandowo bezradne. Druga połowa 1946 r. przyniosła początek schyłku konspiracji i partyzantki, m.in. pod wpływem zwiększonej aktywności UB, wojska i KBW. Od października do dnia wyborów przeprowadzono ponad 1,2 tys. operacji antypartyzanckich, w trakcie których aresztowano ponad 6 tys. osób. Na początku stycznia rozbity został Komitet Porozumiewawczy, a Zrzeszenie WiN – które apelowało o poparcie list ludowców – znajdowało się w kryzysie z powodu aresztowania w ciągu kilku miesięcy (październik–styczeń) dwóch kolejnych prezesów. 6 stycznia rozpoczął się w Warszawie trwający blisko miesiąc proces 10 członków pierwszego Zarządu Głównego Zrzeszenia, w tym płk. Jana Rzepeckiego. Był to wymowny akompaniament do fałszerstwa.

Podobnie jak referendum, także wybory, które odbyły się w niedzielę 19 stycznia 1947 r., przebiegały bez większych zakłóceń. W każdym razie nie doszło do użycia broni przez liczne patrole, nie było zbrojnego ataku na lokale. Sporo osób respektowało zalecenia „blokowych” agitatorów. Zbiorowe przemarsze (przejazdy) do lokali wyborczych najlepiej udały się na wsi, ale zapewne większość szła głosować prosto po mszy. Wielu głosujących eksponowało kartkę „3”, co dawało im miejsce w uprzywilejowanej kolejce. W wielu komisjach nakłaniano do głosowania jawnego. Ambasady brytyjska i amerykańska wysłały w teren garść urzędników przyglądających się przebiegowi głosowania. Pojawiali się też dosyć licznie dziennikarze zagraniczni, jednak sporą ich część stanowili przedstawiciele prasy sowieckiej i państw komunistycznych. PSL natychmiast wystosował protesty – 52 dla każdego okręgu i jeden ogólnokrajowy. Przedstawiono je też na konferencji prasowej dla zagranicznych dziennikarzy. Stosowne memoranda złożono w ambasadach Wielkiej Trójki. Jedynym spektakularnym – choć w Polsce dzięki staraniom cenzury przemilczanym – wydarzeniem była jednak decyzja ambasadora Arthura Bliss Lane’a. Amerykański dyplomata, akredytowany jeszcze przy rządzie RP w Londynie, gdy kierował nim Mikołajczyk, wnet po wyborach opuścił Warszawę, domagając się od swojego rządu, aby uznał, że przeprowadzone wybory nie wypełniły postanowień deklaracji jałtańskiej i późniejszych decyzji w sprawie Polski. Był to jednak odruch serca dyplomaty, a nie oficjalne stanowisko Waszyngtonu.

Aczkolwiek w odróżnieniu od referendum nie zostały – przynajmniej do dziś – odtworzone rzeczywiste wyniki wyborów, przekonanie o tym, że zostały sfalszowane, jest powszechne i zasadne. Wedle komunikatu Państwowej Komisji Wyborczej (w której zasiadał przedstawiciel PSL) na listę Bloku oddano 80,1 proc. głosów, na PSL – 10,3 proc., na Stronictwo Pracy – 4,7 proc., na PSL Wyzwolenie – 3,5 proc., na inne listy – 1,4 proc. Wyniki te odpowiadają tym, które antycypowano w trakcie ustaleń PPR i PPS z jesieni, co samo w sobie może być pośrednim dowodem fałszerstwa. Z dokumentów jednak wiadomo, że fałszowanie przygotowywano i jak miało ono przebiegać. PSL na podstawie cząstkowych danych z blisko 1/5 komisji obwodowych podawało, że na jego listę głosowało tam 69 proc., ale w niektórych obwodach Blok miał uzyskiwać do 50 proc. głosów. Szef sowieckich ekspertów Aron Pałkin w sprawozdaniu dla Stalina twierdził, że Blok miał lepsze wyniki na wsi (70 proc.) niż w miastach (50 proc.). Jest zatem możliwe, że lista Bloku dostała więcej głosów niż „trzy razy tak” (27 proc.), ale z pewnością nie aż 80 proc. Jest też możliwe, że PSL – choćby przez unieważnienie list, a więc utratę szans w 1/5 kraju – dostał mniej głosów niż w referendum, ale z pewnością znacznie więcej niż 10 proc. Podobnie jak w przypadku referendum decydujące były jednak te wyniki, które obóz władzy przedstawił. W rezultacie zarówno Polacy, jak i otaczający świat nie mieli innego wyjścia niż uznać fałsz – jeśli nie za prawdę, to za polityczną rzeczywistość. Oczywiście bardzo dużo Polaków (ale chyba nie większość) fałsz uważali za prawdę.

Rok 1947 – koniec etapu

Nie jestem przekonany, czy rzeczywiste wyniki wyborów (których szczegółów wszakże nie znamy, ale jest prawie pewne, że Blok wypadł w nich lepiej niż w referendum) były rezultatem zaszłej już zmiany w opinii i sympatiach politycznych lub doraźnego lęku wywołanego agresywnością kampanii przedwyborczej i skalą użycia w niej siły. Sądzę jednak, że dopiero ogłoszenie ich sfalszowanej wersji i akceptacja jej przez świat zewnętrzny oraz brak reakcji głównych sił opozycyjnych wpłynęły na nastroje i poglądy, przyczyniając się do przesuwania się punktu ciężkości opinii w stronę pogodzenia się z dominacją PPR również części środowisk do tej pory opornych. Takie zmiany sygnalizują np. informacje o spadku liczby opłacanych na rok 1947 składek członkowskich PSL, a także secesje: w kwietniu kilku znanych działaczy utworzyło Lewicę PSL i uruchomiło własne pismo, a po zniknięciu Mikołajczyka zajęli lokal władz naczelnych partii. Współpracę z PSL zerwał ZMW RP „Wici”, którego kierownictwo przejął propeperowski Komitet Demokratyzacji „Wici”. Po odejściu z secesjonistami Czesława

Wycecha partia utraciła wpływy w ważnym dla niej Związku Nauczycielstwa Polskiego. Przechodzono na stronę wygranych.

Efekt zastraszania, tak charakterystyczny dla drugiej połowy 1946 r., trwał też przez cały rok powyborczy dzięki nieustającej kampanii propagandowej skierowanej przeciwko „wrogom klasowym”, imperialistom, niemieckim „wilkołakom”, spekulantom i „oszustom za kontuarem”, co uzasadniało zaczęta właśnie „bitwę o handel”, czyli likwidację prywatnych sklepów. Nie ustawały pacyfikacje i oblawy, niemal seryjnie w różnych miastach przed sądami wojskowymi i powszechnymi odbywały się procesy, nieraz nagłaśniane przez prasę, radio i kroniki filmowe. Najbardziej znany i politycznie najważniejszy był krakowski proces działaczy PSL (m.in. Stanisława Mierzwy) i trzeciego prezesa WiN płk. Franciszka Niepokólczyckiego „Żejmiana”. Miał dowiesć współpracy stronnictwa z „reakcyjnymi bandami”. Niepokojące dla PSL informacje napływały z „bratnich” państw: w lutym został aresztowany Béla Kovács, sekretarz generalny zwycięskiej półtora roku wcześniej Partii Drobnych Rolników (wyrok – 20 lat więzienia), w czerwcu aresztowano lidera bułgarskich ludowców Nikolę Petkova (kara śmierci wykonana 29 września 1947 r.), w lipcu władze Rumunii rozwiązały Partię Narodowo-Chłopską, a jej przywódca – przed wojną trzykrotnie premier – Iuliu Maniu został skazany na dożywocie (zmarł w więzieniu w 1953 r.).

Wydaje się, że istotne – a może nawet kluczowe – znaczenie dla załamania się znaczenia podziemia miał nie sam terror, ale amnestia uchwalona 22 lutego 1947 r. przez nowo wybrany sejm. W ciągu dwóch miesięcy jej trwania ujawniło się bowiem aż 76,7 tys. osób, czyli ponad dwa razy więcej niż w amnestii z sierpnia 1945 r. Wśród nich 53,5 tys. przebywało na wolności, a część stanowili czynni partyzanci i konspiratorzy. O amnestię wystąpiło też 23,2 tys. więźniów. Oczywiście wystąpienie o amnestionowanie nie oznaczało poparcia PPR, niemniej było świadectwem godzenia się z istniejącym stanem rzeczy. Podobnie jak niegłosowanie na listę PSL nie musiało być równoznaczne z głosowaniem na listę Bloku. Najczęściej zapewne dowodziło zarówno zmęczenia, jak utraty wiary w sens toczenia dalej walki. Jak wiemy z historii członków podziemia, nie wszyscy opuścili pole bitwy, ale chyba nawet trwający na nim nie mieli nadziei na zwycięstwo. Zresztą pozostawały inne formy sprzeciwu, a z czasem pojawiały się nowe.

Wybory z 19 stycznia stanowiły cezurę dla formalnej struktury państwa, ale w sposobie sprawowania władzy właściwie nie nastąpiła większa zmiana. Można zaryzykować tezę, że oznaczały one raczej koniec jednej fazy niż początek nowej. Sfalszowane i przeprowadzone w warunkach „masowego terroru” (Gomułka *dixit*), były jednocześnie... pluralistyczne, gdyż

dopuszczono kilka list, w tym największej partii opozycyjnej. Następna taka okazja trafiła się w Polsce dopiero 42 lata później (4 czerwca 1989 r.) i była oznaką końca reżimu, którego ważną cechą stanowiła „jedność moralno-polityczna narodu”, jak głosił slogan z epoki Gierka. W praktyce owa jedność wyrażała się istnieniem tylko jednego źródła kreowania kandydatów do sejmu. Z tego punktu widzenia wybory styczniowe były (dla komunistów) skażone „dyktatem jałtańskim”, który zapewniał prawo do istnienia legalnej opozycji i dopiero odbycie się tych wyborów anulowało ów niewygodny fragment ugody z Krymu. Stało się zatem tylko kwestią czasu, a raczej taktyki PPR i strategii Stalina, kiedy legalna opozycja zostanie wyparta (wyrzucona) ze sfery publicznej i powstaną warunki do zadekretowania „jedności narodu”. Choć proces tej „relegacji” musiał potrwać, uważam, że za symboliczne (ale zarazem realne) jej rozpoczęcie można uznać dwa wydarzenia z jesieni 1947 r.: ucieczkę Mikołajczyka (21 października), po której PSL zostało wchłonięte przez obóz rządzący i utraciło podmiotowość, oraz niewiele późniejsze (28 listopada) aresztowanie płk. Łukasza Cieplińskiego „Bogdana”, czwartego już prezesa (komendanta) ZG Zrzeszenia WiN, oznaczające faktyczny upadek organizacji, która jako spadkobierca AK jest uważana za symbol oporu. Można zatem stwierdzić, że z końcem 1947 r. komuniści „pozbyli się” PSL oraz doprowadzili na skraj niebytu (do marginalizacji) podziemie – czyli swych najważniejszych zorganizowanych przeciwników (wrogów).

Sejm, będący *de iure* konstytucyjnym, nad swoim głównym zadaniem, czyli uchwaleniem ustawy zasadniczej, biedził się ponad pięć lat (do lipca 1952 r.), ale nie wynikało to z lenistwa szacownego gremium. Głównym powodem był bardzo poważny zwrot polityczny we wszystkich państwach zależnych od Moskwy, która ów zwrot zaordynowała i nim kierowała. Zaczął się raczej spokojnie, jesienią 1947 r., kiedy powstał Kominform, co oznaczało zacieśnienie kontroli ze strony Moskwy i radykalizację działań zmierzających do sowietyzacji. Od lutego–marca 1948 r. trwał jednak konflikt na linii Moskwa–Belgrad, wkrótce rozpoczęła się blokadą Berlina (od czerwca) prawdziwa zimna wojna, a Stalin zarządził czystki w kierownictwach wszystkich podległych mu krajów (już bez Jugosławii), co przyniosło sporo zmian personalnych i zamieszania. W Polsce głównym jego powodem było odsunięcie Gomułki (sierpień 1948 r.). Nie będę tu więcej na ten temat pisał, gdyż w czasie, którym się tu zajmujemy, jest mało śladów prowadzących do tego, co zaczęło się w 1948 r.

Sejm Ustawodawczy (Konstytucyjny) zebrał się na posiedzeniu inauguracyjnym 4 lutego 1947 r., wybrał na marszałka Władysława Kowalskiego, posła z SL, i prace ruszyły śpiesznie. Przynajmniej częściowo wynikało to z faktu, że jedyny klub opozycyjny (PSL) liczył 27 posłów

na 444, czyli stanowił zaledwie 6 proc. parlamentu. Pozostali łatwo się dogadywali, choć akurat pierwszy głosowany akt ustawowy (ustawa o wyborze prezydenta) wzbudził dyskusję między posłem chrześcijańsko-społecznym (ze środowiska Bolesława Piaseckiego) a pepesowskim. W rezultacie PPS głosowała przeciwko akcentom religijnym w przysiędze, ale gdy 5 lutego jednogłośnie wybrano prezydenta RP, Bierut, od młodości ateista, zakończył przysięgę słowami „Tak mi dopomóż Bóg”. Grom z jasnego nieba jednak nie uderzył. Następnego dnia wybrano premiera (Józefa Cyrankiewicza z PPS) i rząd (PSL było przeciw). 19 lutego przyjęto Ustawę Konstytucyjną o zakresie działania najwyższych organów RP (tzw. Mała Konstytucja), a 22 lutego uzupełniającą uchwałę (bez mocy ustawowej) „w przedmiocie praw i wolności obywatelskich” oraz wspomnianą już ustawę amnestyjną. Sejm zbierał się stosunkowo często – do końca roku na sesje plenarne 33 razy i jak wyliczył prof. Andrzej Leon Sowa, obradował łącznie 124 godziny.

Jakkolwiek legitymizacja sejmu, z uwagi na dokonane, ale nieudowodnione oszustwa wyborcze, była wątpliwa, wydaje się jednak, że miał większą wiarygodność niż dotychczasowa KRN i wnosił coś w rodzaju poczucia stabilizacji, choćby przez wymienione ustawy przyjęte w pierwszych tygodniach urzędowania. Aczkolwiek PSL znajdowało się w paraliżującej mniejszości, posłowie jego klubu brali aktywny udział w większości debat – zarówno na sesjach plenarnych, jak i w komisjach – polemizowali z pomysłami i wypowiedziami większości, a sprawozdania były publikowane w prasie peeselowskiej. Skończyło się to od listopada 1947 r., gdy w sejmie – bo jeszcze nie w państwie – zaczął obowiązywać dogmat i przymus „jedności politycznej”.

Historia ma charakter ciągły, ale kiedy staramy się w nią wniknąć, nieuchronnie staje się jej segmentowanie. Dotyczy to także historii najnowszej. W dziejach Polski okresu, który nazywa się – może niebyt precyzyjnie, lecz wymownie – komunistycznym, pierwsze lata, 1944–1947, są wyraźnie odrębne: właśnie wówczas partia komunistyczna, wspierana potęgą Związku Sowieckiego, zapewniła sobie (zdobyła) dominację nad państwem i mimo potężnych zmian – społecznych, gospodarczych, technologicznych, kulturalnych czy międzynarodowych – utrzymała ją przez ponad 40 lat.

Korekta językowa Beata Bińko